Nr. 10. Lwów — Wtorek dnia 14 Stycznia. Rok 1902.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 8 po południu z datą dnia następnego.
Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi: w kraju i Austryi miesięcznie 2 k 20 h, w Niemczech 3 „ — „, w innych Państwach 4 „ — „. Za zmianę adresu dopłaca się 40 h. Opłaty należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.
Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k.
Numer kosztuje we Lwowie . . 8 h. na prowincyi . . . 10 h.
Numera z poprzednich dni po 20 h.
Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nekrologi, pogrzebach, ogłoszenia prywatne, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, artystów, ogłoszenia o zgubach, znalezionych przedmiotach i t. d. po 1 k. od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ przyjmuje wyłącznie: Ajencya dzienników Sokołowskiego we Lwowie Pasaż Hausmana l. 9.
Ceny ogłoszeń:
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy: wiersz petitowy albo jego miejsce 20 h.
W drobnych ogłoszeniach: tłustym petitem za każde słowo 4 h. tłustym garmondem „ „ 6 h. koresp. prywatne „ „ 8 h.
Nadesłane na trzeciej stronicy: Ogłoszenia: wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . 60 h.
Reklamy po kronice wiersz petit. 1 k.
Ogłoszenia na czele numeru na pierwszej stronicy wiersz petitowy . . . . 60 h.

Dziś św. Feliksa z Noli | Jutro św. Maura Op. | 1 Henwar 1902 Sylwestra | Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.** | Wschód słońca o g. 7 m. 53 | Zachód „ „ 4 m. 26 | Długość dnia godzin 8 minut 33 | Przybyło dnia od wczoraj 3 min.

Pod znakiem sprawy polskiej.

Dziś w sejmie pruskim zaczęła się ważna rozprawa o stosunkach „na wschodnich kresach monarchii“, to znaczy nie w samem tylko Poznańskiem, ale także w Prusach Wschodnich i na Szląsku. Prezydent izby przeznaczył dwa dni na tę rozprawę, lecz podobno zajmie ona i środowe posiedzenie. Z tego powodu dzienniki berlińskie z góry nazywają ją „bitwą narodów“, jak ową pod Lipskiem, którą Napoleon I stoczył ze sprzymierzonemi wojskami w r. 1813ym od 16go do 19go października. Słuszniej jednak można ją nazwać „bojem dwutygodniowym“, jak ten, po którym w połowie wieku XV Turcy zdobyli Konstantynopol. Bo rzeczywiście parlamentarne życie Niemiec zaczęło się tym razem pod znakiem naszej sprawy. O niej mówił kanclerz na pierwszem posiedzeniu parlamentu; jej poświęcono część mowy tronowej do sejmu pruskiego; nią się zajmował poseł Dziembowski podczas rozpraw budżetowych i minister spraw wewnętrznych Rheinbaben, przedstawiający sejmowi etat pruski; wreszcie liberalne stronnictwo wystąpiło z zapytaniem do rządu, jakich nowych środków chce on użyć przeciw „polskiej powodzi“ i jakiej pomocy żąda od niemieckiego narodu, a Koło polskie ze swej strony zainterpelowało rząd, czy nie uważa za konieczne zmienić swego systemu w interesie publicznego spokoju, skoro dotychczasowy system doprowadził do otwartych i gorszących wypadków, czy mianowicie nie przekonał się jeszcze, że nauka religii powinna się odbywać w ojczystym języku. Jak liberałowie zgodnie wystąpili po stronie hakatyzmu, tak katolickie centrum całe przyłączyło się do Koła polskiego: na swem klubowem posiedzeniu uchwaliło ono przystąpić „in gremio“, jako całość, do polskiej interpelacyi i tem ogromnie podniosło jej znaczenie. Wobec tego prezydent izby odstąpił od tradycyi pruskiego sejmu, wedle której na pierwszem miejscu rozpatrywano przed wszelkiemi sprawami budżet, wniesiony przez rząd; najpierw odbywa się pierwsze jego czytanie, potem odsyła się go do komisyi, a dopiero wtedy w pełnej izbie zaczynają się rozprawy, wywołane interpelacyami. Tym razem, po raz pierwszy odkąd sejm pruski istnieje, będzie inaczej, bo całe życie parlamentarne w Niemczech stanęło pod znakiem sprawy polskiej. Zrobiono to jeszcze ze względów praktycznych. Otóż w projekcie budżetowym, wniesionym przez ministra Rheinbabena, znajduje się kilka pozycyi antypolskich, więc chodzi o to, aby z rozprawy, wywołanej interpelacyami Koła polskiego i liberałów, komisya budżetowa mogła wywnioskować, czy większość sejmu chce, aby te pozycye pozostały w budżecie.

Interpelacya liberałów jest właściwie zbyteczna. Wnieśli ją oni chyba jedynie dlatego, aby publicznie zadając kłam swej nazwie, odrazu zaznaczyć, iż są wrogami wszelkiej sprawiedliwości i szanowania praw ludzkich w stosunku do obcych. Zbyteczna jest ta interpelacya dlatego, że już minister Rheinbaben, wnosząc projekt budżetu, powiedział, czego rząd chce od narodu niemieckiego w swej walce z Polakami. Budżet zawiera następujące pozycye antypolskie: Milion marek funduszu dyspozycyjnego do prezesów prowincyi poznańskiej i zachodnio-pruskiej. „Ta kwota — rzekł minister — może będzie powiększona, albowiem agitacya polska już zaczyna się szerzyć między protestanckimi mazurami w Prusach Wschodnich i na Szląsku, gdzie i tej prowincyi pojawi się polskie niebezpieczeństwo, to potrzebne będą fundusze na walkę z niem“. Fundusz dyspozycyjny idzie na popieranie niemieckich adwokatów, lekarzy, rzemieślników i kupców, na niemieckie kasyna, gazety, przedstawienia teatralne i t. d. W budżecie państwowym pojawił się on po raz pierwszy przed kilku laty, gdy zmarły Miquel powiedział, że nie dość ustaw wyjątkowych i komisyi kolonizacyjnej, ale potrzeba jeszcze „środków kulturnych“; z razu wynosił ten fundusz tylko 40 tysięcy marek, lecz rosnąc z roku na rok, dosięgnął w roku ubiegłym 400-tu tysięcy; teraz odrazu podskoczył na milion. Jednocześnie rząd uznał, że jest to zupełną niewłaściwością, aby w małych wielkopolskich miasteczkach urzędnicy pruscy, najmując mieszkania w domach mieszczan polskich, dawali jakiś tym mieszczanom dochód. Tak być nie może w państwie cywilizowanem. Więc w ogóle rząd przeznacza 5 milionów marek na budowę domów dla urzędników i jako ratę pierwszą wstawił teraz do budżetu jeden milion marek. — Dalej potrzeba dla katolików niemieckich potworzyć osobne kościoły i parafie, aby z polskimi katolikami nie spotykali się nawet w świątyniach. Na ten cel przeznaczono w budżecie pół miliona marek. Lecz skoro będą osobne niemiecko-katolickie kościoły i parafie, to potrzeba także osobnego duchowieństwa niemieckiego. Dotąd go nie ma, albowiem seminaryum znajduje się pod wyłącznym zarządem arcybiskupa. Rząd tedy zamierza założyć trzy własne seminarya, po jednem w Poznańskiem, w Prusach Zachodnich i na Szląsku. Z tego oczywiście z czasem wyniknie, że część duchowieństwa nie będzie podlegała arcybiskupowi i powstanie groźna sprawa, która o Watykan się oprze, a w razie przeciwnego oporu wywoła nową walkę religijną, ale o taką przyszłość rząd niemiecki nie dba. Na owe trzy seminarya przeznaczono w budżecie po kilkadziesiąt tysięcy marek. Wreszcie jest w budżecie jeszcze jeden „środek kulturny“. Rząd postanowił zrównać z ziemią fortecę poznańską, zasypać rowy, grunt rozparcelować, wyciąć ulice, skanalizować je, zaopatrzyć w wodociągi i rury gazowe, a potem parcele sprzedawać tylko Niemcom na takich samych prawach, jakie obowiązują kolonistów niemieckich, to znaczy, że nie wolno ich sprzedać ani wydzierżawić Polakom. Otóż na zburzenie fortecy i następnie rozparcelowanie gruntów potrzeba 17 milionów marek; ta robota będzie ukończona w całości w r. 1905 ym; na rok zaś bieżący wstawiono na ten cel do budżetu 2 miliony marek.

Tyle na razie będą kosztowały „kulturne środki“. Mówiąc o nich, powtórzył minister Rheinbaben słowa wielu ministrów pruskich o prawie do Wielkopolski, nabytem „długą cywilizacyjną pracą niemieckiego narodu i państwa“. Po wykonaniu owych „kulturnych środków“ ta „cywilizacyjna praca“ będzie jeszcze dłuższa i ani trochę nie inna od poprzedniej. A jaką tamta była, doskonale wiemy już nietylko z polskich, ale z wielu niemieckich źródeł. Dla przykładu jedynie przytoczymy, że prezydent poznański Zerboni di Sposetti, w pamiętnikach swych, wydanych w Berlinie w r. 1812-ym, tak pisze o urzędnikach pruskich w Wielkopolsce: „Ci nieśmienni ludzie, pozbawieni poczucia obowiązku, ludzkości i czci, okradli skarb na miliony. Przed oczyma tych sprzedajnych ludzi pomijano. I wszystko to się działo w imię dobra państwowego“. Jeszcze dosadniej charakteryzuje pruską cywilizacyjną pracę w Wielkopolsce niemieckie, wydane w Lipsku w 1800 r. dziełko p. t. „Feyer-Bräude“, w którem powiedziano, że tacy junkrowie, jak książę Hohenlohe-Ingelfingen i Blücher, tacy ministrowie jak Hoym i Haugwitz, tacy dygnitarze jak Goldeck, razem z królewską kochanką Liebdenau zrabowali Wielkopolskę na 20 milionów talarów. Nie lepiej działo się później, za czasów Schöna i Flottwela, a zupełnie tak samo, jak za czasów Zakonu krzyżackiego, kiedy majstrom zakazano przyjmować do terminu chłopców polskich i kiedy żadnej skargi Polaka na Niemca nie wolno było sądom przyjmować. W świetle historyi tak się przedstawia „długa cywilizacyjna praca państwa pruskiego i narodu w ziemiach polskich“. Powoływać się na taką pracę i z niej wysnuwać dla siebie prawa na przyszłość, to znaczy z góry przyznać się do zbrodni przeszłości. Rzeczywiście, cóż innego czyni hakatyzm? Może on obchodzić jubileusz najmniej 125 -cioletni, a jednak czy zwyciężył swą ofiarę? Zaiste, nie, skoro sam prawi o polskim zalewie i polskiem niebezpieczeństwie. I zwyciężyć nie może. „Narodu nie stawia się na indeks“ — rzekł Burke, ostrzegając Anglię przed gnębieniem Irlandyi.

Zatarg o papiery po Crispim.

Między rządem włoskim, którego przedstawicielem jest senator Damiani, a rodziną zmarłego Crispiego, głównie jego córką, zamężną za księciem Linguaglossa, powstał spór o spadek po zmarłym, mianowicie o zbiór listów Bismarka, Arnima, Gladstona, Disraelego, Gambetty i wielu innych mężów stanu, oraz „patryotów“ włoskich z owych czasów, kiedy patryotą był tylko rewolucyonista. Księżna Linguaglossa sprzedała te papiery jakiemuś medyolańskiemu nakładcy, nie mając ich jeszcze w rękach, a nakładca pośpieszył się ogłosić, że niebawem wyda owe niezmiernie ciekawe listy. Oczywiście był to interes kupiecki ogromnej wartości. Publiczność dowiedziałaby się tysiąca nadzwyczaj zajmujących a ukrytych dotąd sprężyn, które poruszały wypadkami. Działalność masoneryi podczas wojny francusko-niemieckiej i podczas zaboru Rzymu, jej układ z Bismarkiem, jej popieranie Gambetty, tajne przyczyny wojny z Kościołem katolickim w Niemczech, Włoszech i Francyi, powód gambettowskiego okrzyku: „Duchowieństwo — to wróg!“ — wszystko to w zbiorze listów Crispiego przedstawia się ze strony zakulisowej. Więc też gdy medyolański nakładca ogłosił swe wydawnictwo, trwoga ogarnęła masonów, ogarnęła ona i sfery rządowe niektórych państw. Na włoskie ministeryum zaczęto wywierać z różnych stron nacisk, aby nie dopuściło do publikacyi listów. Wówczas na wezwanie owego ministeryum, wystąpił senator Damiani, któremu Crispi w swym testamencie powierzył uporządkowanie listów, notatek, pamiętników. Zamiast przystąpić do uporządkowania, położył on areszt na całą literacką spuściznę Crispiego, dowodząc, że jako senator, musi dbać o interes państwa, a wie, że publikacya listów zaszkodzi Włochom. Nadto złożył w sądzie oświadczenie, iż Crispi, chociaż nie mówi o tem w testamencie, jednak pozwolił mu zachować w tajemnicy listy, które uzna za szkodliwe. Sąd uchwalił, że w przytomności urzędników państwowych, Damianiego i członków rodziny Crispiego będzie spisany protokół o sporze Damianiego z księżną Linguaglossa, poczem do pieczęci Crispiego na pace z listami dodane będą pieczęcie państwowe, a następnie paka listów i protokół będą jeszcze raz już razem opieczętowane i oddane do przechowania w archiwum trybunału państwowego. Tak uratowano „doniosłe interesa“, uratowano może na długo, jeżeli paka razem z pieczęciami pewnego dnia nie zniknie, aby ujrzeć światło dzienne w jakiejś drukarni — przypuśćmy amerykańskiej. Lecz zapewne nie zniknie, raczej przypadkowo się spali, bo masoni nie chcą tej publikacyi.

Reforma szkół średnich.

Gimnazyum dzisiejsze t. zw. klasyczne, w którem łacina i greka odgrywają główną rolę, ten wytwór ducha niemieckiego, jest w naszych czasach coraz częściej atakowane, zwłaszcza przez narody rasy łacińskiej i inne, nie będące pod wpływem szkolnictwa niemieckiego, lub wyłamujące się z pod niego jak Rosya, Norwegia, Szwecya etc. Niedawno zajął się tą sprawą kongres pedagogiczny, odbyty w Brukseli z okazyi 50 tej rocznicy utworzenia dzisiejszych szkół średnich w Belgii, w którym wzięło udział około 1500 uczestników z Belgii, Francyi, Włoch, Rosyi, Stanów Zjednoczonych, Węgier, Szwecyi, Norwegii i Holandyi. W obradach tego kongresu najgorętszą i najbardziej doniosłą była dyskusya w sprawie przeciążenia uczniów pracą szkolną. Że to przeciążenie istnieje i sprowadza jak najzgubniejsze następstwa, to nie ulega, zdaniem uczestników zjazdu, najmniejszej wątpliwości; zdania ich rozdzieliły się krańcowo dopiero wtedy, gdy zaczęto szukać istotnej przyczyny tego zjawiska i obmyślać środki zaradcze. Wielu mówców przypisywało winę wyłącznie szkodliwym wpływom otoczenia domowego i niedbałości rodziców o prawidłowy rozwój fizyczny swych dzieci. Wykazywano, że rodzice dobrych swych chęci nie umieją miarkować wymaganiami hygieny i pedagogiki; pragną uczynić ze swych dzieci skarbnice mądrości, kładą na nie ciężar nad siły, i rujnują zdrowie a tępią umysł.

Zdaniem innych uczestników Zjazdu złego należy szukać wyłącznie w programach szkolnych, przeładowanych materyałem suchym i bezbarwnym, w zadawaniu ogromnej ilości lekcyi do domu i w systemie wykładania, w którym najważniejszą rolę odgrywa podręcznik.

Programy szkolne powinny, zdaniem tych pedagogów, być skrócone przynajmniej o 3-cią część, praca umysłowa po za lekcyami w szkole zmniejszona do możliwych granic. Podręczniki powinny być tylko środkiem pomocniczym przy powtarzaniu tego, czego uczniowie nauczyli się na lekcyach. Zdaniem członków zjazdu pożądanem jest również, ażeby nauczanie poglądowe w szkole średniej uzyskało powszechne prawo obywatelstwa i zostało wcielone w jak najszerszym zakresie do wykładania nauk przyrodzonych. Zalecono tu następujące środki: 1) wycieczki botaniczne; 2) pokazywanie uczniom zbiorów i obrazków, jak również posługiwanie się latarnią czarnoksięską, która może poniekąd zastąpić w szkole średniej mikroskop; 3) samodzielną pracę uczniów klas wyższych w pracowniach chemicznych i fizycznych.

Najmocniej jednak atakowano naukę języków klasycznych. Wykazywano, że klasycyzm w szkołach średnich utracił już wszystkie swe dawne dobre strony, a nabył wiele nowych złych. Obciąża on, jako nieużyteczny balast, mózgi dzieci w owym właśnie wieku, kiedy powinno się położyć fundamenta pod wiedzę rzeczywiście mającą styczność z życiem realnem, a sam klasycyzm, tak jak dziś jest traktowany, nie przynosi żadnej korzyści umysłowemu rozwojowi uczniów. Dopóki łacina i greka zajmują czas w szkołach — mówiono — niepodobna ani usunąć przeciążenia pracą, ani dać odpowiedniej roli naukom przyrodniczym, które są zarówno istotną niezbędną wiedzą, jak niemniej potężnym, naturalnym i zdrowym środkiem rozwinięcia umysłu młodocianego.

Rozumowania te, wcale nie nowe i często powtarzane, raz jeszcze rozwinęli uczestnicy zjazdu pedagogicznego w Brukseli, co o tyle może mieć znaczenie praktyczne, że zjazd ten odbył się pod opieką belgijskiego ministerstwa oświaty. Dodać jednakowoż należy, że i klasycyzm znalazł na kongresie obrońców, a w szczególności bronił go przedstawiciel Francyi, za czem nie idzie, ażeby we Francyi wogóle myśl usunięcia lub ograniczenia nauki języków klasycznych była niepopularna. Jak wiadomo, propaguje ją tam słynny pisarz Lemaitre i znajduje wielu zwolenników. Wogóle sprawa ta zwolna we wszystkich krajach europejskich staje na porządku dziennym, i już nawet rządy stawiają pierwsze kroki na drodze ograniczenia nauki języków klasycznych w gimnazyach.

Chłopi polscy w Galicyi wschodniej.

Obrona polskości na kresach zachodnich przeciw niemieckiemu *Drang nach Osten*, weszła już oddawna na stałe w program prac naszych narodowych. Brutalność naporu podwaja jedynie czujność naszą i czynność w tym kierunku. A chociaż bardzo wiele jeszcze do zrobienia, zdziałano niemało; nie brak też wskazówek prawdziwie pocieszających, że działalność nasza na tym punkcie z dnia na dzień na coraz szerszych opierać się będzie podstawach, coraz bardziej będzie intenzywna, konsekwentna, a co za tem idzie, coraz też bardziej zwycięska. Niestety, to nie jedyne niebezpieczeństwo; grozi nam ich i z innych stron niemało. Nie wybiegając okiem i myślą po za granice naszej szczuplejszej ojczyzny Galicyi, widzimy tu u nas i wśród nas bardzo niepokojące zjawiska wynarodowiania, tem gorsze, tem groźniejsze, że społeczeństwo nasze za mało, raczej prawie wcale nie zwróciło i nie zwraca dotychczas na nie uwagi.

Mam na myśli owe drobne, a jednak liczne mniejszości polskie w kilkunastu powiatach Galicyi wschodniej, które — otoczone zewsząd żywiołem ruskim, nieuświadomione pod względem narodowym — topnieją, giną doszczętnie dla nas, bez żalu, bez echa najmniejszego w naszem społeczeństwie. A zjawisko to trwa ciągle, powtarza się codziennie, wzrasta. Ile żywiołu polskiego w ten sposób zginęło bezpowrotnie dla nas, trudno obliczyć. Mniemam, że więcej, niż sądzimy, niż przypuszczamy. Piszący te słowa zna kilkanaście miejscowości we wschodniej Galicyi i miał sposobność stwierdzić naocznie z wielkim smutkiem ten zanik: tam, gdzie przed laty kilkunastu było kilkanaście rodzin polskich włościańskich, gdzie przed laty kilku jeszcze była ich mała grupka, dziś nie ma już ich ani śladu. Przez chrzty w cerkwi, związki małżeńskie z Rusinami — wraz z obrządkiem łacińsko-katolickim, pacierzem polskim, pękły ostatnie ogniwa, łączące tych ludzi z Polską. Dziś to Rusini. A dzieje się to — trzeba wyznać — nie drogą jakichś zorganizowanych agitacyj ze strony Rusinów. Nie! Te zdobycze, jak owoc dojrzały, po który się tylko schylić, padają im wprost same — iure caduco — jako res nullius, która cedit primo occupanti. Nas nie ma przytem zazwyczaj; nie wiemy nic o tem.... więc Rusini biorą to, co im w ręce samo wchodzi. Odbywa się to nietylko w powiatach, gdzie Polacy wogóle stanowią mniejszość, ale i w tych powiatach, gdzie żywioł polski ilościowo jest równy ruskiemu: mniejszości polskie we wsiach, przez Rusinów zasiedlonych, ruszczą się tam tak samo dla braku oparcia i poparcia.

Sytuacya ta w ostatnich latach znacznie się pogorszyła i nie ma najmniejszych oznak, by się coś miało zmienić na lepsze. Dawniej taka mniejszość miała częściowe oparcie we dworze polskim; dziś dwory te znikają przeraźliwie; z nimi wysycha jedyne „źródło“ ożywcze polskości — i zaczyna się działanie sił naturalnych: przyciągania ciał mniejszych przez większe, drobnych grup polskich przez masy ruskie. Bliska cerkiew i ksiądz ruski ułatwiają to działanie sił natury. Nadto dawniej tak Polacy, jak Rusini stanowili masę pod względem narodowym zupełnie obojętną, bierną; dziś świadomość narodowa u Rusinów wzmaga się bardzo, rośnie skutkiem energicznej pracy wszystkich żywiołów inteligentniejszych ruskich z dnia na dzień... Z Polakami we wschodniej Galicyi inaczej; nikt nie myśli o nich, o ich nie już uświadomieniu narodowem, ale

---

137)

HURAGAN

Powieść historyczna

przez

Wacława Gąsiorowskiego

(Ciąg dalszy).

Imię Ferdynanda stało się hasłem do formowania się pierwszych tajnych zebrań.

Chunta w Oviedo, stolicy asturyjskiej, pierwsza dała hasło do zbrojnego oporu, wypowiadając śmiało wojnę... Napoleonowi. Za przykładem tej garstki śmiałków poszły chunty Sewilli, Santanderu, Kadyksu, Grenady, Saragossy, Kartageny i Leonu.

Lud chwycił za broń. Strumienie krwi polały się. W szalonem zapamiętaniu mordowano nietylko Francuzów, lecz i tych, których posądzano o umiarkowanie. Rzeź straszna wstrząsnęła południem Hiszpanii. Lud budził się z setek lat niemocy, uśpienia, budził się z pianą na ustach!

Chunty zadrżały ze zgrozy i jęły przedsiębrać kroki, aby rozpoczętej wojnie nadać charakter walki a nie mordów!...

Więc chunty rozpoczęły równocześnie pościg za dowódcami napadów, nie żałując miecza ani szubienicy... Murat wydał surowe rozkazy wojsku — i oto Hiszpania spłynęła krwią. Jęki mordowanych a bezbronnych, zaciekłe potyczki między stronnikami Ferdynanda i Józefa, krwawe odwety wojska, salwy wystrzałów wstrząsnęły półwyspem.

Na czele zbrojnych gromad coraz częściej ukazywać się zaczęli mnisi z krzyżami w dłoniach, prowadzący do boju w imię Tego, który miłością nakazał zwalczać nieprzyjacioły swoje.

Hiszpanie szli za godłem wiary Chrystusowej, niby na walkę z niewiernymi, niby na nową krucyatę.

Żołnierz francuski na widok tych godeł... żegnał się, cofał a wreszcie oburzony, iż mu z pod krzyża grozić się ośmielają — ściskał karabin i tratował.

Legia nadwiślańska ponuro spoglądała na hiszpańskie sztandary. Tu wiara była równie silną, może głębszą choć spokojniejszą. Legionista ku niebu oczy zwracał, jakby czekając, iżali grom nie wytrąci z rąk świętokradców godła męki Zbawiciela!...

Gdy dano znać do ataku szedł, unikając spotkania z habitem... Lecz kiedy z pod nasuniętego kaptura błysnęły ku niemu oczy krwią nabiegłe, a ręka trzymająca krzyż wyciągnęła *cuchillo* i podnosiła się do ciosu, wówczas legionista nie znał pardonu...

Szwadron Pawła Jerzmanowskiego dotarł szczęśliwie do Bordeaux, choć w drodze musiał pozostawić porucznika Wybickiego z chorymi i końmi.

W Bordeaux czekała szwoleżerów niespodzianka. Na powitanie ich bowiem wystąpił wcześniej tu przybyły szwadron Tomasza Łubieńskiego i oddział, przyprowadzony przez Gorajskiego, z szefami Łubieńskim i Kozietulskim na czele.

Żołnierze witali się z zapałem. Przybywający, ożywieni nadzieją wypoczynku, spotykający napełnieni otuchą, że odtąd większą gromadą chodzić będą...

Naczelne dowództwo objął z prawa starszeństwa szef pierwszego szwadronu, Tomasz Łubieński pod pozornym dozorem pierwszego gros-majora pułku Delaitra, który pod ten czas, siedząc w Paryżu, zajmował się głównie administracyjnemi sprawami szwoleżerów.

W Bordeaux po raz pierwszy zaznaczyły się sympatye i kwasy żołnierzy.

Tomasz Łubieński nie był lubianym. Choć oficer dobry a dbały o żołnierzy, choć powściągliwy w wymierzaniu kar, nawet łagodny i wyrozumiały — miał w swojem obejściu coś, co odeń odpychało szwoleżerów, co mroziło ich szczere, otwarte serca, co wznosiło między nim a żołnierzami nieprzebytą zaporę ukrytych niechęci. Czy może działała tu głównie pewna pyszałkowatość, cechująca skrzywioną protekcyonalnie twarz pana Tomasza, czy owe jego rozwodzenie się w kole oficerów nad swemi arystokratycznemi węzłami i stosunkami przedostało się do koszar, dość, że nie miał miru Łubieński. Rzecz to była tem dziwniejsza, że właśnie cieszył się był względami samego Napoleona.

Wykonywano bez szemrania rozkazy Łubieńskiego, poddawano się wszelkim jego zarządzeniom, lecz oziębłość co dnia wzrastała. Żołnierzowi nie podobał się sztywny, wymuskany szef szwadronu, który nawet w chwili uniesienia umiał pamiętać o formach towarzyskich, który bodaj ani razu nie umiał przemówić do nich bez konwencyonalnych, sztucznych efektów.

Usposobienie żołnierzy udzieliło się i oficerom. Ci znów mieli za złe szefowi, że ten nie szczędził uwag złośliwych Wincentemu Krasińskiemu pułkownikowi, i zdawał się żywić doń urazę, że ten może go wyprzedził w łaskach Bonapartego. Nadto oficerowie co dnia do większej ze sobą dochodząc zażyłości a braterstwa, nawet dopuszczając doń wielu żołnierzy... nigdy nie przeszli Rubikonu powszednich grzeczności z Łubieńskim.

Ten ostatni miewał wybuchy, w których pyszność jego zdawała się łamać, sprawiał nawet kolegom częste uczty, ale chłód wiał za stołem szefa, który był niewyczerpany w rozwodzeniu się nad tem, jakie ród jego wiążą koligacye, z kim śniadał, z kim obiadował, a z jakiemi to osobami już rozmawiał. Pycha czasem tak unosiła pana Tomasza, że niekiedy brat jego rodzony, Franciszek, kapitan pierwszej kompanii, słynny jąkała, przerywał bratu swem ulubionem:

— Po...oomówimy ooo... czem innem!...

Przeciwieństwem Tomasza Łubieńskiego był szef drugiego szwadronu, Jan Kozietulski.

Młody, bo dwadzieścia siedm lat liczący pan Jan, a już okryty sławą dzielnego żołnierza i oficera w krwawych bitwach, stał się duszą pułku.

Trochę zawadyaka, w fantazyi przewyższał Jerzmanowskiego, a w zapalczywości może nie miał sobie równego. Żołnierzy kochał. Burczał, klął, groził, lecz w końcu przebaczał każde przewinienie, ujmował się nawet za szwoleżerami, a w chwili rozochocenia z ciurą gotów był zdrowie pić.

Kozietulski nie miał postawy Seweryna Fredry, nie mógł się równać z Ambrożym Skarzyńskim w szlachetności marsowej, lecz łączył w sobie jakiś wdzięk młodzieńczy a tak swojski, tak sarmacki, tak polski, że porywał szwoleżerów i niewolił ich serca.

Kozietulski był szczupły, smagły, o włosach płowych, oczach skośnie zarysowanych jasno-niebieskich, małych niedbale zwieszających się wąsikach i bujnej a rozwichrzonej czuprynie.

Na kształtnie wykrojonych ustach rysował się dobrotliwy a łagodny uśmiech, w oczach błąkał się często smętek. Zdawał się być uosobieniem dobroci — nic nie było w nim, coby znamionowało wielkiego rycerza.

Ale gdy Kozietulski dosiadł konia, a dobył szabli, działa się w nim niepojęta przemiana. Na twarzy Kozietulskiego zjawiała się stalowa wola, skry mu szły z oczu, a głos młodego szefa dźwięczał jak metal, którego nigdy zgłuszyć nie mogły ani salwy armatnie, ani zgiełk i łomot bitewny.

Głos Kozietulskiego miał moc nieznaną, która pętała żołnierzy, obezwładniała i porywała za sobą, która trafiała do najzaciszniejszych zakamarków serc szwoleżerów, kędy przechowywać zwykli byli najdroższe, najświętsze, najczystsze uczucia, kędy tryskały źródła ich siły, ich zapału, zkąd poświęcenie początek swój brało, gdzie się zrodziła ich pierwsza myśl, aby stanąć w szeregach.

Kozietulski nie dobierał wyrażeń. Zdania i słowa jego były proste, graniczące może z grubijaństwem, lecz płynęły z duszy, z uczuć czystych, jasnych.

Z domu rodzicielskiego wyniósł on był rzadką bogobojność a umiłowanie religii przodków. Rzadką, bo choć wiara w opiekuńcze skrzydła Bogarodzicy nie zaginęła, choć pieśń jej przetrwała... atoli pod koniec czasów pruskich nowe prądy z zachodu zakradać się jęły. Loże masońskie mnożyły się w całym kraju, a setki młodzieży przystawały do nich.

(Ciąg dalszy nastąpi)

wogóle o zachowaniu — utrzymaniu dla polskości.

W takiem położeniu i Kościół łaciński — tak doniosłej wagi moment w życiu naszem narodowem we wschodniej Galicyi — traci również na ich przyciąganiu. Polacy we wschodniej Galicyi, to katolicy łacińskiego obrządku, a jak we dworze, tak w kościele jedynie wieśniak polski przypomniał sobie, że jest Polakiem. Dziś jedność religijna Polaków rozsadzona, rozerwana. W jednej i tej samej rodzinie, pod tym samym dachem, kilku członków należy do obrządku grecko-kat., kilku do łacińskiego. Parafie polskie daleko mniej liczne niż ruskie — obejmują znaczne obszary, tak, że część parafian nieraz jest oddalona od swego kościoła 8 do 10 kilometrów, a nawet znacznie więcej. Jaki to wpływ ma na tych parafian, nie trudno odgadnąć. Zwłaszcza, że cerkiew gr.-kat. jest tuż pod bokiem, bo niemal każda wieś, to parafia ruska odrębna. Przy każdej ważniejszej, a nagłej potrzebie religijnej (np. chrzest dzieci chorych, śluby itp.), zbyt wielka odległość kościoła zmusza niejako tych łacinników-Polaków do udania się do cerkwi. W ten sposób giną dla Kościoła, zwłaszcza tam, gdzie grupa etniczna polska słabą liczebnie — niepostrzeżenie, cicho, setki, może tysiące... Liczb naturalnie nawet przybliżonych podać nie można; na to trzeba czynić zupełnie szczegółowe studya na miejscu; że jednak tak jest, z bólem mieliśmy sposobność sprawdzić nie raz i nie dwa. Pod względem religijnym rzeczą to być może dość obojętną, wszakże to jeden i ten sam Kościół powszechny katolicki. Ale nie jest to rzecz drobna dla polskości i dla kulturalnego naszego rozwoju. Zerwany związek z Kościołem, to zerwany ostatni węzeł, łączący z polskością tych ludzi, nieuświadomionych narodowo.

Że to nie są jakieś „marne strachy na Lachy", dowodem najlepszym, iż nawet przed laty kilkunastu wydał ks. arcybiskup Morawski list pasterski, czy też okólnik do duchowieństwa, w którym zwraca uwagę wszystkich na te niedomagania Kościoła łacińskiego w archidyecezyi lwowskiej i wzywa gorąco do budowy nowych kościołów, kaplic mszalnych, kapelanij, do nowych uposażeń dla liczniejszego duchowieństwa. Przez kilka też lat następnych czytywaliśmy w dziennikach odezwy jednego z gorliwych proboszczów ze wschodniej Galicyi, nawiązujące do listu arcypasterza z wezwaniem do składek. Potem ucichło wszystko. Dlaczego głos jednego z książąt naszego Kościoła nie wywołał żadnego echa wśród społeczeństwa polskiego? Dlaczego rzecz tak wielkiej doniosłości i z tak wysokiego podniesiona miejsca nie rozgrzała obojętnych, nie otworzyła oczu nieświadomym?

O obojętność dla spraw, tyczących podstaw wręcz bytu narodowego, pomawiać nas nie można. Jakiż więc powód takiego zaniedbania, takiej, rzec można, niebaczności lekkomyślnej w kwestyi w niniejszych uwagach dotkniętej?

Mniemam, że jedynym powodem — acz może to brzmi paradoksalnie — tego grzechu zaniedbania wobec naszej braci w Galicyi, to bardzo mała i niedokładna znajomość tego stanu rzeczy we wschodnich prowincyach. Społeczeństwo nasze nie uświadomiło sobie jeszcze w całej pełni i grozie sytuacyi, nie umie też należycie ocenić codziennych uszczerbków w dorobku narodowym, a nie uświadomiło głównie dlatego, że nie poznało dokładnie tego stanu rzeczy, że nie zdaje sobie jasno i wyraźnie sprawy, jakiemi siłami wogóle polskość rozporządza we wschodniej Galicyi i jakie nasześrodki. Tu nie dość, że w Wydziale krajowym mamy osobny departament statystyczny, że jego uczony kierownik ogłasza liczne materyały, nie dość, że dzienniki nasze od czasu do czasu powtórzą w jakimś zakątku liczby odnośne, które ledwie przeczytane, wnet też zapomniane, nie wpływają na usunięcie nieświadomości, a już wcale nie naruszają w niczem błędnych mniemań. Tu trzeba koniecznie działalności energicznej, konsekwentnej; działalności, którąby obudziła czujność naszą. Tu potrzeba, żeby liczby statystyczne przestały być abstrakcyą na papierze: myśl w nich tkwiąca winna przejść w ciało i krew naszego narodowego sumienia.

A tymczasem? — Polacy w Galicyi zachodniej zazwyczaj mówią o wschodniej, jako o kraju ruskim, w którym Polacy to *rari nantes* wśród morza ruskiego. Z pewną też czy lekkością, czy niemal beznadziejnością wyrażają się (wcale często z tem spotykamy się i to u inteligentniejszych) o naszej tam sytuacyi, jakoby o pozycyi, jeżeli już na poły nie straconej, to na każdy sposób nie dającej się utrzymać na dalszą metę. — Polacy ze wschodniej znowu Galicyi, acz znają stosunki lokalne powiatu, okręgu lub parafii, w której mieszkają, całości sprawy nie obejmują również i być może dla nadto wielkiej bliskości nie widzą rzeczy, nie troszczą się o nią. Zajęci wyłącznie niemal utrzymaniem zdobytych praw konstytucyjnych, pochłonięci walkami wyborczemi do ciał prawodawczych i autonomicznych reprezentacyj, nie widzą chmur groźnie wiszących nad nami i strat już poniesionych, nie myślą też wcale o jakiejś akcyi zaradczej.

A jednak to może już przedostatnia godzina dnia do pracy. Jutro może być za późno! Musimy koniecznie jąć się jak najszybciej pracy i to energicznie, jeżeli nie chcemy zaprzepaścić tego, co nie jest zdobyczą naszą, ale dziedzictwem pracy długich pokoleń.

Pierwszym warunkiem powodzenia działalności w tym kierunku, to dokładna znajomość terenu całego. Podstawą i punktem wyjścia i dla uświadomienia sobie sił naszych i dla rozpoczęcia akcyi skutecznej — mniemam, najodpowiedniejszem byłoby wydanie szczegółowej a naukowo ściśle opracowanej mapy etnograficznej Galicyi. Tylko taka mapa, uwzględniająca wszystkie najmniejsze grupy etniczne stwarza pogląd na całość, uwidocznia, wskazuje odrazu, gdzie, jak i kiedy co czynić. Spisy ludności i rezultaty ich cyfrowe nie mogą wcale zastąpić takiej mapy; kryteryum języka towarzyskiego, na którem cyfry te opierają się, nie jest wcale ścisłem, nie może budzić zaufania wielkiego. Wiemy to wszyscy.

Obok mapy etnograficznej — równej wagi jest mapa obrządków, z oznaczeniem dokładnem granic parafii łacińskich i ruskich unaoczniająca wyraziście stosunek łacińskiego obrządku do greckiego. Jedna mapa uzupełnia drugą i obie są postulatem nieodzownym, koniecznym dla całej akcyi, jeżeli ta ma być działalnością na seryo skuteczną, z oszczędzeniem rozumnem sił i środków naszych, bez wahań ciągłych i nawrotów od błędów niepotrzebnych.

Rzucam tych kilka myśli — kierowany jedynie troską o dobro narodowe. Kwestyę należy rozebrać zasadniczo, bez względu na każdorazowe fazy polityki Rusinów. Rozbioru tego domaga się sprawiedliwość, tylko na niej zaś mogą się trwale opierać stosunki polsko-ruskie. Byłoby to prawdziwe szczęście dla piszącego, gdyby te luźne uwagi zdołały wywołać dyskusyę głębszą, bardziej w istotę rzeczy wnikającą, gdyby skłoniły ludzi dobrej woli do zastanowienia się nad całą tą sprawą, tak niezmiernie doniosłą dla polskości.

Dr. Zbigniew Kniaziołucki.

Korespondencye.

Wiedeń 12 stycznia.

(Praca d-ra Koerbera nad ugodą. — Walka o mandat wolfowski.)

(y). Zdumiewającą jest wytrwałość, z jaką dr. Koerber stara się utorować drogę czesko-niemieckiemu porozumieniu, pomimo, że przeszkody, stawiane z obu stron, zdają się być niemal niemożliwemi do usunięcia. — Po ostatnich debatach w sejmie czeskim można było sądzić, że szkoda wprost dalszego zachodu około tej sprawy, tymczasem prezes gabinetu nie traci nadziei, lecz konferuje niestrudzenie z czeskimi i niemieckimi posłami. Wczoraj poprosił do siebie przywódzcę młodoczechów d-ra Herolda i długo z nim rozmawiał, przyjął także reprezentanta wszechniemców d-ra Schalka, który sam się doń zgłosił, by mu oficyalnie zapowiedzieć, że stronnictwo jego z góry protestuje przeciw wszelkim koncesyom językowym na rzecz Czechów, w najbliższych dniach zaś odbyć się mają konferencye z pp. Pradem, Funkem i Baernreitherem. Wogóle cały przyszły tydzień przeznaczony jest na poufne konferencye z posłami czeskimi i niemieckimi, przyczem dr. Koerber zastrzega się wyraźnie, że ma jedynie na celu wysłuchać ich opinii poniekąd jako rzeczoznawców, by módz wyrobić sobie jasny obraz sytuacyi i zoryentować się, co do których punktów da się osiągnąć porozumienie, a które zostawić należy w spokoju.

Intencyą p. Koerbera jest podobno jedynie tylko kwestyę językową uczynić na razie przedmiotem konferencyi ugodowej, bo jest on zdania, że im mniejszy teren akcyi ugodowej, tem prędzej porozumienie da się osiągnąć. Dla parlamentu zaś byłoby zdobyczą nie lada, gdyby bodaj ta jedna kwestya językowa czesko-niemiecka odłączona została od jego losu. Przedewszystkiem idzie p. Koerberowi o ustalenie definicyi pojęcia „wewnętrznego języka urzędowego". Plan p. Koerbera jest taki: Dotychczas konferuje on z osobna z posłami czeskimi, a z osobna z niemieckimi; jeżeli ustalone zostaną pewne punkty styczne, w takim razie rozpoczną się rokowania ze stronnictwami znów osobno czeskiemi, a osobno niemieckiemi, a dopiero potem zasiądą przy jednym stole reprezentanci obu narodów. P. Herold oświadczył podobno prezesowi gabinetu imieniem młodoczechów, że jeżeli Niemcy zechcą stawiać z góry jakieś warunki, to młodoczesi wcale nie wezmą udziału w konferencyi. Inni zaś posłowie czescy, z którymi p. Koerber się naradzał, a więc pp. Pacak i Pantoucek, zwrócić mieli uwagę prezesa gabinetu na to, że głównym powodem rozbicia się akcyi ugodowej w roku 1890 było to, że rząd ówczesny chciał przeprowadzić ugodę osobno w Czechach, a osobno na Morawie, należałoby więc teraz unikać powtórzenia tego błędu.

Wybór posła do Rady państwa z okręgu trutnowskiego, reprezentowanego dotychczas przez p. Wolfa, odbędzie się 15 stycznia. Walka będzie niezawodnie niesłychanie zacięta, bo agitatorzy zarówno Wolfa jak i kandydata liberalnego Bachmanna agitują nietylko na zgromadzeniach i w prasie, ale chodzą wprost od domu do domu i jednają głosy dla swoich kandydatów. Sam Wolf od onegdaj bawi w powiecie trutnowskim, objeżdża miasta i miasteczka i urządza zgromadzenia, na których omawia swą aferę miłosną z panią Seidlową. Na zgromadzeniu w Arnau przedstawił on prof. Seidla jako człowieka, u którego zazdrość o żonę przeszła wprost w manię. Rzekł on między innemi, że Seidl zazdrosny był nietylko o niego, ale także o pewnego innego mężczyznę, z którym żona jego miała być zaręczona. A potem opowiadał obszernie swój pojedynek z Seidlem i rzekł, że chyba bardziej rycersko jak on nikt nie mógł postąpić. „Mogłem go zabić — rzekł Wolf — bo strzelam doskonale, a jednak umyślnie strzeliłem ponad jego głowę, a wystrzeliwszy, zbliżyłem się doń na odległość pięciu kroków i dałem mu dziesięć sekund czasu do mierzenia we mnie. Kula jego świsnęła mi koło ucha". Potem zaklinał się Wolf, że od czasu jak pani Seidlowa poślubiła swego obecnego męża, on nawet nie widział jej nigdy i rzekł wreszcie, że właściwie tylko jedna osoba mogłaby mu robić z powodu tej afery jakieś wyrzuty, t. j. jego (Wolfa) żona, — ona jednak „jako prawdziwa niemiecka patryotka" przebaczyła mu.

Usprawiedliwiał się też Wolf, dlaczego nie chce zgodzić się na to, aby sprawę jego poddano pod rozstrzygnięcie sądu honorowego. Owoż nie może on się na to zgodzić z tego powodu, że prawdopodobnie sąd ten złożonoby z samych jego wrogów politycznych, tj. liberałów, a może dodanoby do nich jeszcze Dra Rappoporta, Luegera i Verganiego. W końcu wspomniał Wolf także o swych wrzekomych zamiarach samobójczych, i to w taki sposób, że wnosićby należało, iż naprawdę odbierze on sobie życie, jeżeli przepadnie przy wyborach. Przemowę swoją bowiem zakończył temi słowy: „Głosowanie wasze będzie dla mnie nie tylko politycznym wyrokiem, ale rozstrzygnie ono także o mojem życiu".

Warto wspomnieć jeszcze o tem, że prof. Seidl i jego żona ogłaszają, iż znany memoryał pani Tschanowej, matki pani Seidlowej, zamieszczony w wydawanym przez p. Wolfa dzienniku *Ostdeutsche Rundschau* zawiera same kłamstwa lub przekręcone fakta. Pani Tschanowa zaś ogłasza drugi list, w którym znów staje po stronie Wolfa, a nadto oświadcza, że chciała rozmówić się z córką w tej sprawie, lecz jej do niej nie dopuszczono.

Co i o czem piszą.

P. Jan Jodko, który niedawno odbył podróż do Ziemi świętej, opowiada w *Czasie* bardzo wzruszającą historyę o jednym z rodaków naszych, poległym bohaterską śmiercią w obronie Grobu świętego.

Przed dziesięciu czy dwunastu laty — pisze on — wśród strasznej burzy nocnej, zginął u wybrzeży Jaffy, rozbity o skały podwodne, statek rosyjski „Czichaczew".

Ojcowie Franciszkanie z „Hospitium Terrae Sanctae" przy pomocy dzielnych żeglarzy arabskich, z narażeniem własnego życia uratowali całą załogę statku, która w gościnnych murach klasztornych znalazła schronienie i przytułek.

W liczbie rozbitków znajdował się młody Polak, Julian Markowski, który będąc ciężko rannym, został powierzony specyalnej opiece współrodaczki, Siostry Letycyi Szczygielskiej, zakonnicy klasztoru św. Józefa.

Gdym przed laty paru, będąc w Jaffie, odwiedzał tę świętą niewiastę, opowiadała mi o całem zdarzeniu i o szczęściu, jakiego doznała, gdy młodzian, powierzony jej pieczy, po kilkunastu dniach pasowania się ze śmiercią odzyskał przytomność i powoli zaczął do zdrowia przychodzić.

— Widząc go coraz silniejszym, zaczęłam myśleć o jego duszy. Moralizuję go tedy, daję obrazki, podsuwam modlitewniki, a on się uśmiecha: „Siostrzyczko kochana, ja już w myśli ofiarowałem się Bogu, a skoro służbę ukończę, wrócę tu, wstąpię do zakonu Ojców Franciszkanów i służyć mu będę do śmierci".

Wrócił zacny młodzian i od lat sześciu pod imieniem Brata Władysława de Podgorze jest zakrystyanem u Grobu Zbawiciela, powszechnie kochanym i cenionym. — I podziwiała Siostra Letycya zrządzenie Opatrzności i drogi, któremi Bóg wierne sługi do siebie pociąga.

Dziś Brat Władysław, śmiertelnie ranny, leży bez przytomności, bez życia już prawie, ciało jego pokryte strasznemi ranami, a dusza... u progu wieczności. Czerń grecka wywarła na nim ohydną swą zemstę. Jak zgraja dzikich zwierząt rozszarpała obrońcę miejsc świętych.

Poznałem go przed dwoma laty.

Późnym już wieczorem zbliżyłem się do świątyni Grobu Pańskiego. U nawpół przymkniętych podwoi, we framudze, na rozpostartych kobiercach siedzieli Turcy, ci sami, których przed kilku i kilkunastu laty na tem tu samem miejscu zostawiłem. Poznali mnie! Lekkiem skinieniem głowy i podniesieniem ręki do serca, ust i czoła witają, a ukazując klucz, dają do zrozumienia, że świątynia niebawem zamkniętą zostanie. Cofam się z żalem. Na prawo od wejścia do świątyni wznoszą się schodki kamienne, prowadzące do kaplicy „Franków". Widzę światło, wchodzę po schodach i znajduję się niebawem u stóp ołtarza, na który srebrna lampa słabe rzuca światło. W ołtarzu na obrazie twarz Matki Bolesnej widnieje. Postać tak piękna a tak żałośna, iż oczu od niej oderwać nie można. Pod obrazem biały obrus, a na nim czytam te słowa: „Królowo Ziemi naszej módl się za nami! Matko, nie opuszczaj nas!"

Ktoś wchodzi po cichu. Postać zakonnika młodego widzę klęczącą koło mnie. Ściska mnie za rękę, szepcząc: poznaję rodaka.

Był to brat Władysław, rozbitek ze statku rosyjskiego, któremu OO. Franciszkanie powierzyli opiekę nad skarbem chrześcijaństwa, nad grobem Zbawiciela.

Częstośmy się spotykali. Nieraz wśród nocnej ciszy, siedząc przy stopniach ołtarza, słuchałem opowiadań jego, tchnących głęboką wiarą, i błogiem szczęściem z losu, jaki mu przypadł w udziale. — A jednak życie jego w tym ciemnym labiryncie sklepień i kaplic podziemnych, było walką nieustającą z wrogiem zażartym i nieustannie czyhającym na jego zgubę. — Dla nikogo chyba tajemnicą nie jest, iż mnisi greccy od najdawniejszych czasów wszelkich używają środków, by wydrzeć katolikom posiadanie miejsc świętych. OO. Franciszkanie niejednokrotnie w ich obronie krew przelewali.

Jakąż straszną nienawiścią zapałać musieli mnisi greccy wobec człowieka młodego, pełnego energii, ogromnych sił fizycznych, mówiącego biegle ich językiem, a który zaraz na wstępie im oświadczył: iż jednej piędzi Ziemi Świętej nie ustąpi, która mu powierzoną została. — Zaprzysięgli mu więc zgubę.

— Bywało, mówi mi Brat Władysław, wyjdę na szczyt drabiny, by lampy pozapalać. Drabina się chwieje i pada z łoskotem. A ja sobie myślę: głupie Greki! nie wasza siła! — i przypomniawszy sobie dawne czasy służby na statkach, po sznurach i gzemsach spuszczam się na dół. — Innym znowu razem niby niechcący, w tłumie, ścisną mnie dokoła! Drugi by może nie wytrzymał. Ale Pan Bóg dał mocne gnaty. Niech Mu z nich będzie chwała!

— Bracie kochany! powiadam, zabiją kiedyś.

— Niech się dzieje wola Boża. Wszak na tej Ziemi Świętej, przez kilka wieków, pięć tysięcy OO. Franciszkanów krew swą za wiarę przelało. I moją ofiarę Pan Bóg łaskawie przyjmie.

Mówił to spokojnie i jakby przeczuwał, że kolej jego nie daleka.

Jakoż 29 października z. r., w chwili, gdy Brat Władysław dla zaznaczenia prawa do używalności, zamiatał schody prowadzące do kaplicy, w której go po raz pierwszy ujrzałem, mnisi greccy, wypadłszy ze świątyni starali się przemocą w pracy mu przeszkodzić. — 30 października na tych samych schodach ponownie się na niego rzucili, twierdząc, że schody do nich należą.

Dnia 2 listopada gwardyan grecki Euthymios wysyła posłańca do kustosza OO. Franciszkanów z zapowiedzią, iż wstępu na schody do kaplicy Franków wiodące, zabrania. Ksiądz kustosz udaje się o protekcyę do baszy Jerozolimskiego, który dwóch żołnierzy przysyła. Zaledwie wszakże zakrystyan, Brat Władysław, wstąpił na schody, kilkudziesięciu Greków wypada z sąsiednich domów, i rzuciwszy się na niego, ściąga przemocą ze stopni.

Dnia 3go listopada. Gubernator Jerozolimski, wspólnie z konsulem francuskim, uznają, iż używalność schodów do kaplicy Franków wiodących przysługuje katolikom. Wtedy to Grecy zamiast poddać się wyrokowi władzy, postanowili zemścić się strasznie na znienawidzonych, odwiecznych obrońcach Miejsc Świętych.

Dnia 4go listopada, od samego rana, groźne, tajemnicze postacie zaczęły się przesuwać przed podwojami świątyni. Pokutnicy z Mar Saba, — nawpół dzicy pustelnicy, żyjący w górach otaczających Jericho, stawili się do apelu.

Zaledwie OO. Franciszkanie z wikarym kustodyalnym na czele weszli na schody, tłuszcza uzbrojona w noże, siekierki, maczugi, rzuciła się na nich z piekielnym wrzaskiem. Ośmnastu zakonników leżało niebawem, we krwi broczących. Ale najpotworniejszą zemstę wywarł dziki tłum na naszym biednym rodaku. Mnich Paweł, przybyły od niedawna z klasztorów na górze Athos, z tyłu go maczugą tak silnie w głowę uderzył, że biedny braciszek padł bez przytomności. Wtedy wszyscy rzucili się na niego i niebawem ciało jego było jedną straszną raną. W chwili gdy piszę te słowa, zapewne przestał już cierpieć.

Pan do chwały swojej powołał wiernego sługę swoich ołtarzy. — Biedny rozbitek dopłynął do portu,

* * *

Fejletonista *Naszego Głosu* opowiada następującą anegdotę ze świata żydowskiego:

Rabin z Jaworowa jechał pewnego razu budką na jarmark w Przemyślu. Że jednak miał brata w Mościskach, więc jechał przez Mościska i chciał tam przenocować. Na pozór rzecz to łatwa, ale gdy w Przemyślu jest jarmark, wszyscy żydzi tam jadą, a gdy jadą, to nocują u brata rabina w Mościskach. Gdy i rabin chciał tak zrobić, pokazało się, że w całym domu nie ma ani kawałeczka miejsca. Nie pozostało więc nic innego, jak nocować w stodole, na budce. I tak się stało. Mojsze Bandwurm, furman, wciągnął budkę do stodoły, przywiązał konie do dyszla tyłem tak, aby mogły skubać siano z kosza, przygotował dla rabina legowisko na wozie, dla siebie pod wozem i — wszystko było, jak się należy.

Rabin, skończywszy się modlić, rzekł:

— Mojsze Bandwurm, czyś się już pomodlił, aby nam koni nie ukradli?

— Jeszcze nie, rabbileben.

— To się pomódl, a oprócz tego przywiąż je mocno.

Mojsze zrobił, jak mu kazano.

Gdy skończył, rabin odezwał się znowu:

— Słuchaj Mojsze Bandwurm! Skoroś się pomodlił i konie dobrze przywiązał, to jeżeli jeszcze nie zaśniesz i będziesz pilnie uważał, możliwą jest rzeczą, iż nam nikt koni nie ukradnie.

— Będę uważał i nie zasnę — rzekł Mojsze.

Rabin położył mu obie ręce na głowie, błogosławiąc go, potem zamruczał coś i wlazł zwolna do budy.

— Hej, Mojsze! — zawołał rabin, zbudzony w nocy szczekaniem psów z północnu na niewygodnem legowisku. — Hej Mojsze!

— Czego chcesz, rabileben?

— Czy śpisz, Mojsze?

— Nie, rabileben.

— A co ty robisz?

— Myślę, rabileben.

— A o czem ty myślisz, Mojsze Bandwurm?

— Myślę, myślę... nad tem, gdzie się podziewa łój, gdy świeca się spala...

— Nu, kiedy ty myślisz o takich mądrych rzeczach, to ty nie zaśniesz — zamruczał uspokojony rabin i obrócił się na prawy bok.

* * *

Przez szpary stodoły powiał chłodny wietrzyk. Rabin się znowu obudził.

— Hej, Mojsze — zawołał.

— Czego chcesz, rabileben?

— Czy ty śpisz, Mojsze?

— Nie, rabileben.

— A cóż ty robisz?

— Myślę, rabileben.

— A nad czem ty myślisz?

— Ja myślę... myślę... nad tem, gdzie się podziewa drzewo, gdy się w deskę wbija gwóźdź?

— Nu, skoro ty myślisz nad tak mądremi rzeczami, to ty pewnie nie uśniesz — rzekł rabin i z westchnieniem ulgi przewrócił się na lewy bok.

Gwiazdy pobladły. W tem zapiał kogut i obudził rabina ze snu.

— Hej, Mojsze! — zawołał pobożny mąż.

— Czego chcesz, rabileben?

— Czy ty spisz, Mojsze?

— Nie, rabileben.

— A cóż ty robisz?

— Myślę, rabileben.

— A o czem ty myślisz, Mojsze Bandwurm?

— Ja myślę... myślę... że drzwi zamknięte, nic się nie ruszało... ale gdzie nasze konie?

List do Redakcyi.

(W sprawie zarządzeń pocztowych).

W odpowiedzi na list do Redakcyi pana E. R. P., umieszczony w *Przeglądzie* z dnia 5go stycznia 1902, jako niby sprostowanie zarzutów, które podniosłem w artykule nr. 299 *Przeglądu* w sprawie zarządzeń pocztowych — sprostowanie, które wszelakoż celu chybiło, bo bynajmniej nic nie prostuje,— czuję się obowiązanym słów kilka powiedzieć. Uprzedził mnie wprawdzie poniekąd p. W. Gniewosz, w korespondencyi, z którą najkompletniej się zgadzam tak w całości, jak szczególniej w jasnem zaznaczeniu, „że wszelkie instytucye, nie wyłączając więc i poczty, istnieją i istnieć powinny dla publiczności, a nie publiczność dla nich". Dodaję jeszcze, że byłby czas już najwyższy to zapatrywanie w praktyce urzeczywistnić.

Rada p. E. R. P. aby teraźniejsze „secesyjnego" kształtu recepisy pocztowe składać do seksternów szkolnych, wygląda po prostu na niewłaściwy żart i dość „skrajny". Co zaś do książek pocztowych, zaznaczam z całą stanowczością w imieniu wszystkich pokrzywdzonych, że nie widzę wcale przyczyny, dla której prywatne osoby nadające przez rok znaczną liczbę przesyłek poleconych, nie miałyby ich otrzymywać, a tylko zakłady publiczne wyłącznie mogły z tego przywileju korzystać.

List prywatny częstokroć ważniejszy jest niż niejeden szablonowy quasi-urzędowy; przeto nadawcy zależy niezmiernie na tem, by miał pod ręką ślad i dowód wysyłki, urzędownie wpisany, w odpowiedniej i porządnej książce, ale nie w jakimś zlepku, lub też przez p. E. R. P. improwizowanym seksterniku dziecięcym, jakiego nadawca nie posiada i od którego odwykł od wielu lat. Nie rozumiem, dlaczego o uzyskanie takiej książki pocztowej, jaką miało się dotąd, trzeba w roku 1902 jakby o drogocenny skarb, udawać się aż do wysokiego jakiegoś trybunału?

Rozporządzenia tego rodzaju ultra-despotyczne i secesyjne recepty p. E. R. P. mają najzupełniejszą cechę sekatury, a co najmniej nieuzasadnionego lekceważenia publiczności — czego wcale nie życzą sobie naczelne władze które (abstrahując zawsze wstrętny pedantyzm) nie zaniedbują nigdy liczyć się z opinią i z wymaganiami publiczności.

Józef Mysłowski.

Plotka.

Plotkę bardzo zmyślnie porównał ktoś do natrętnych i najbardziej znienawidzonych owadów, jak komary, pchły, pluskwy itp. Podobna jest ona do nich przez marną swą naturę, przez dokuczliwość, przez wielką swą liczbę, przez ból, który sprawia. Człowiek lekceważy owady, jako istoty natrętne, ma z niemi kłopot, ale nie uważa ich za nieszczęście. Tak samo patrzy na plotki i na plotkarzy. Czasem się skrzywi, czasem syknie, czasem się opędzi, ale nie widzi w plotce ciężkiego występku, a w plotkarzu zbrodniarza. Tymczasem lepsze poznanie rzeczy przekonywa, iż ukąszenia drobnych owadów często nie kończą się na swędzeniu i na kropli wyssanej krwi. Drobna, ohydna pluskiewka wszczepić może w organizm ludzki gorączkę tyfusu, lub zarazek szkarlatyny. Może więc pozbawić nas życia, lub przyprawić o stratę istot drogich.

I plotka jest szkodnicą wielką! I ona w żądle swoim ma zarazki niejednej choroby, niejednej niedoli. Niech się stanie wypadek jaki, niech się ma stać dopiero — plotka pracuje gorliwie, wytrwale, abyśmy nie poznali prawdy, abyśmy położenia nie zrozumieli, aby nasze myśli były fałszywe, aby uczucia nasze w złą stronę poszły. Z błędnych pojęć musi powstać niedorzeczne, szkodliwe postępowanie. Czasem wypadku niema — plotka go stwarza sama, i osnuwa mnóstwem drobnych ploteczek, jedna z drugiej się rodzi, jedna się o drugą zahacza. Więc plotka oślepia, ogłupia i prowadzi na bezdroża. Plotka nieraz już pozbawiała narody najdzielniejszych synów, najużyteczniejszych pracowników, najcnotliwszych, najmądrzejszych mężów. Bo w żądle plotki tkwi potwarz. A gdzie się potwarz panoszy, tam dobrzy idą w poniewierkę, iść muszą, a źli się rozpierają. Plotka bywa zgubą nietylko w życiu publicznem. Ona burzy szczęście rodzinne, a niejednego też doprowadziła do ruiny materyalnej. Nie ma takiego dobra, któregoby plotka zabrać nam nie mogła; nie ma bólu, któregoby nie potrafiła sprawić.

Ileż to razy w redakcyi odbieramy listy, pełne rozpaczy, skarżące się na spustoszenie, sprawione przez plotkę. Często proszą nas o wystąpienie przeciwko plotkom, grasującym w jakiemś miasteczku nie gorzej od zarazy. Najczęściej pisma nie mogą się wdawać w szczegóły spraw podobnych jako w rzeczy natury prywatnej.

Gdyby wierzyć temu, co ludzie mówią, toby można było sądzić, iż u nas wszyscy brzydzą się plotką, że jej nienawidzą, bo znają jej fatalne skutki i dla ogółu i dla jednostek. Każdy narzeka, iż chwast tak bujnie rozplenił się wśród nas, każdy przeklina plotkarzy.

Świeżo wystąpiło przeciwko plotce kilka pism warszawskich, dowodząc, iż plotki w tej chwili grożą wywołaniem bardzo opłakanych następstw finansowych, fałszywe lub przesadzone pogłoski mogą podkopać byt wielu przedsiębiorstw, co w dalszym ciągu wywoła coraz nowe nieszczęścia. „Wystąpienie to nie jest wcale pierwsze. Prasa nieraz już łamała ręce nad tą ciężką wadą i wołała wielkim głosem o poprawę. Trzy lata temu, przed odsłonięciem pomnika Mickiewicza, zaklinano chórem, w imię uczuć obywatelskich, aby dobrzy ludzie pohamowali swoje języki i wyobraźnię. Nigdy nic nie pomogło. Plotkarstwo ani na chwilę nie osłabło, raczej ciągle wzrasta. Wzrasta podwójnie, coraz więcej plotek, i coraz gorsze — coraz głupsze, coraz szkodliwsze" — pisze *Kuryer Polski*.

Przyczyna tego jasna. Narzekamy, głośno i gorzko narzekamy, ale plotkę lubimy wszyscy, wszyscy ją pielęgnujemy. Tu korzeń złego, tu przyczyna, że żadne zaklęcia i namowy i groźby nie pomagają. Wszyscyśmy winni, a każdy chciałby wyplenić złe u innych, siebie pomijając. W ten sposób z miejsca się nie ruszy z pewnością. Nie każdy tworzy plotki, ale nikt nie ma tego smaku w ustach, aby słyszanych nie powtarzać. Naturalnie, gdy chodzi o nas samych i o przyjaciół, nawet o obojętnych, widzimy całą ohydę plotkarstwa. Ale nie oprzemy się pokusie powtórzenia choćby półgębkiem, choćby z zastrzeżeniem „podobno", jakiejś wiadomości krzywdzącej lub ośmieszającej, gdy ona dotyczy wroga. W najlepszym razie pocieszamy się i usprawiedliwiamy tem, że złego człowieka (a każdy nasz nieprzyjaciel jest przecie złym!) należy zgnębić choćby... kłamstwem!

Jakże fala plotek nie ma wzbierać coraz wyżej. Zalewa nas nieprawością swoją, truje ogół, marnuje ludzi. Każdy człowiek poci się, zabiega, aby być bogatszym, możniejszym, często nawet mądrzejszym, ale tylko rzadki, bardzo rzadki wyjątek stara się być lepszym. I dlatego to, głównie dlatego, nie mamy bogactw i sił nam brak.

KRONIKA.

Lwów 13 stycznia.

Wiadomości urzędowe. Rz. kat. proboszcz i dziekan w Skałacie ks. Michał Piotrowski otrzymał krzyż kawalerski orderu Franciszka Józefa. — Podpułkownik 33-go pułku piechoty obrony krajowej w Stryju, Wacław Jakob przeszedł w stan spoczynku.

Zagadkowa zbrodnia. Z Tarnawicy leśnej donoszą, że na tamecznej stacyi kolejowej, gdzie wieczorem krzyżują się zawsze pociągi: ciężarowy z Woronienki z osobowym ze Stanisławowa, jakiś zbrodniarz poprzestawiał zwrotnice tak, żeby dnia 6 grudnia z. r. pociąg osobowy wjechał na ciężarowy. Katastrofa byłaby niechybnie nastąpiła, gdyby nie szczęśliwy traf, że pociąg ciężarowy spóźnił się do Tarnawicy. Śledztwo jest w toku, a w sferach kolejowych utrzymują, że zamach ten był wynikiem jakiejś osobistej animozyi organów podwładnych ku kierującym.

Śluby. W sobotę wieczorem w lwowskim kościele OO. Bernardynów odbył się ślub baronównej Wandy Gostkowskiej, córki Romana i Wandy z Dylewskich br. Gostkowskich, z p. Kazimierzem Brudzewskim. — Dnia 18 bm. o godz. 7 wieczorem odbędzie się w kościele archikatedralnym ślub panny Maryi Grollé, córki Jana i Maryi z Czaykowskich z drem Witołdem Ziembickiem lekarzem.

Powszechne wykłady uniwersyteckie. We wtorek dnia 14 b. m. w Muzeum botanicznem (ul. św. Mikołaja 4) o godz. 7 Prof. Uniw. Dr. T. Ciesielski: „O bakteryach". — W szkole realnej (ul. Kamienna 2) o godz. 7·30 Dr. St. Witkowski: „Kurs elementarny języka łacińskiego".

Sędzia śledczy lwowskiego sądu karnego dr. Wassung prosi wszystkich, którzyby mieli jakiekolwiek wiadomości o człowieku zamordowanym i znalezionym naprzeciw koszar huzarskich na Wulce, ażeby zechcieli wiadomości te mu zakomunikować. Zwłoki zamordowanego są wystawione w instytucie anatomicznym na ul. Piekarskiej, gdzie każdy może je obejrzeć. Sędzia śledczy dr. Wassung prosi tedy wszystkie te osoby, któreby poznały owe zwłoki, żeby mu raczyły donieść w sądzie karnym lwowskim, przy ul. Batorego pod l. 3, osobiście lub listownie, kto był ów zamordowany, jak się nazywał, skąd pochodził i z kim żył w stosunkach.

Akademicy ruscy opuścili w sobotę i wczoraj Lwów, a udali się do Wiednia, Krakowa i Pragi. W sobotę wieczorem żegnano ich demonstracyjnie na dworcu. Gdy pociąg odjechał, ci, którzy przybyli na pożegnanie, przeważnie młodzież, udali się w pochodzie do miasta, a po drodze śpiewali ruskie pieśni. Policya i wojsko kilkakrotnie zamykały pochodowi drogę, ale demonstranci przybywszy do miasta, sami spokojnie się porozchodzili.

Konkurs rozpisuje Wydział powiatowy w Kamionce strumiłowej na posadę prowizorycznego kasyera za kaucyą 1200 K; płaca 1200 K., termin do 24 bm.

Galicyjski fundusz religijny. Majątek Kościoła rzk. w Galicyi przedstawia się jak następuje: Kapitały wynoszą 8,580,801 złr., wartość dóbr i realności 2,224.644 złr. Osobny krakowski fundusz religijny ma 144.596 złr. w kapitałach a

20.212 w nieruchomościach. Dochód roczny z kapitałów gal. funduszu preliminuje rząd w budżecie na r. 1902 w wysokości 906,300 koron, dochód z dóbr (10.918 hektarów gruntu: Przedzielnica, Habice, Malechowice, Muszyna, Stary Sącz, Stanisławice i Grobla) w kwocie 85.590 koron, a z zakładu kąpielowego w Krynicy 31.620 kor., razem 1,023,510 koron. To jest dochód z majątku Kościoła łacińskiego.

Fundacye cerkiewne wcielone do gal. funduszu religijnego, przynoszą niespełna 200 koron rocznie, a więc 1/5000 część całego funduszu. Natomiast jak wiadomo oba obrządki, łaciński i ruski partycypują w dochodach gal. funduszu w równej mierze, tj. raczej w miarę zapotrzebowania. A ponieważ fundusz ten jest niemal wyłączną własnością łacińskiego Kościoła, okazuje się stąd, że Kościół ruski w Galicyi żyje z dochodów Kościoła łacińskiego. Gdyby nad faktem tym zastanowili się owi żarliwi agitatorzy rozdziału Galicyi na polską i ruską, pojęliby, że także i ze względu na fundusz religijny podział taki byłby dla społeczeństwa ruskiego niepowetowaną stratą, bo wtedy Kościół gr. kat. musiałby prawo czerpać jedynie ze swych własnych dochodów, wynoszących tylko około 200 K. rocznie.

Hojne fundacye. Feliks i Emilia hrabiostwo Sobańscy ofiarowali do rąk warszawskiego Towarzystwa rolniczego sto tysięcy rubli na założenie kasy przezorności lub emerytalnej dla oficyalistów rolnych. Rodzina Sobańskich ufundowała także zakład dla paralityków i zakład wychowawczy dla chłopców, które to instytucye weszły już w Warszawie w życie.

Zmarły przed trzema tygodniami w Warszawie bogaty kapitalista tamtejszy Jan Stern, izraelita, zapisał na rozmaite cele dobroczynne 250.000 rubli.

Z kolei. *Gazeta lwowska* z dnia 15 b. m. ogłosi rozpisanie licytacyjnej sprzedaży starych materyałów odzyskanych w obrębie c. k. Dyrekcyi kolei państwowej we Lwowie. Oferty wnosić należy najpóźniej do godziny 12 w południe dnia 31 stycznia b. r. u wyż wspomnianej c. k. Dyrekcyi kolei państwowej. Warunki sprzedaży otrzymać można w biurze dla spraw warsztatowych i parowozownictwa, a podane są one także w *Gazecie lwowskiej*.

Kurs wykładów z dziedziny gospodarstwa wiejskiego urządza we Lwowie od 17 do 21 lutego komitet Towarzystwa gospodarskiego galicyjskiego. Program tych wykładów jest następujący: 1. Jakie powody nadają się do wykonania akordowego? Jakimi środkami dążyć do rozpowszechnienia robót akordowych; (prof. dr. Pawlik 2 godziny). 2. Maszyny żniwne, ich budowa i użycie. Pługi wieloskibowe i ich zastosowanie; (prof. T. Rylski 2 g.) 3. Przygotowanie do nasienia do siewu; (prof. dr. K. Miczyński 2 g.). 4. Wychów cieląt; (prof. dr. M. Pańkowski 2 g.) 5. O żywieniu zwierząt domowych; (prof. St. Chaniewski 4 g.). 6. W jaki sposób podnieść dochody z mleka w Galicyi; (p. Jan Biedroń 2 g). 7. O żywieniu się roślin; (prof. dr. Ign. Szyszyłowicz 2 g.). 8. Najważniejsze dla naszych gospodarstw kwestye nawozowe; (prof. J. Mikułowski-Pomorski 4 g.); 9. Uprawa buraków; (p. Jerzy Turnau z Mikulic 3 g.). 10. O melioracyach łąkowych; (st. inżynier p. J. Blauth 3 g.). 11. O roślinach uprawianych u nas roślinach pastewnych; 3 g.

Polski bakteryolog. Z powodu niedawnej naszej notatki, że uczeni zagranicą zajmują się teraz gorliwie studyami nad przenoszeniem gruźlicy ludzkiej na zwierzęta i perliczy z bydła rogatego na ludzi, zwracają naszą uwagę na to, że znakomity polski bakteryolog dr. Justyn Karliński, starszy lekarz powiatowy w Cajnicy w Bośni, znany w świecie naukowym ze swych rozpraw ogłaszanych w kilku językach, od dawna studyuje tę kwestyę i przeprowadza swoje doświadczenia. Wynik tych doświadczeń ogłosił on w broszurze, wydanej w języku polskim pt. „W kwestyi przenoszenia się gruźlicy ludzkiej na bydło rogate", wyszła ona we wrześniu r. z. we Lwowie. Wydał on także bardzo cenną pracę z zakresu bakteryologii pt. „Wąglik (Anthrax)", która również wyszła we Lwowie.

Nowy rodzaj paszkwilów. W inseratach jednego z pism lwowskich pojawiło się było następujące ogłoszenie: „Rodatycze, Wielebna Matka Miraka, poszukuje leśniczego i zarządcy pałacu, pierwszeństwo mają izraelici". Owóż w Rodatyczach mieszkają dwie szlachcianki, w zwykłym dworze i nie mają żadnego pałacu; mają od paru lat leśniczego katolika i nie myślą o zmianie w zarządzie leśnym. Cały zaś inserat był afiszowanym paszkwilem, mającym na celu rzucić cień na przełożoną owych zakonnic, przewielebną Matkę Mirakę.

Zmarli. We Lwowie Franciszka z Kaczanowskich Pietrzycka, wdowa po urzędniku sądowym, lat 66; Józef Morawski, inspektor Tow. wzaj. ubez. w Krakowie, lat 59; Antonina z Szelickich Nałęcz Kędzierska, wdowa po śp. Izydorze, właścicielu dóbr i marszałku powiatowym, lat 84; Emilia ze Stojałowskich Hemerlingowa, wdowa po profesorze gimnazyalnym, lat 66. — W Insbruku Karol Nennel, student uniwersytetu lwowskiego.

Ofiary. Na odbudowę spalonej części klasztoru na Jasnej Górze nadesłał ksiądz J. M. ze Lwowa (z prośbą o Mszę św. za duszę zmarłych) 6 K.

Dla dzieci wrzesińskich nadesłała gmina miasta Ulanów 20 K.

Komitet poznański, który się zaopiekował dziećmi wrzesińskiemi, prosił nas, jakoteż i wszystkie inne redakcye pism polskich, abyśmy zamknęli składki z Nowym Rokiem, a złożone pieniądze mu odesłali. Prosimy więc szanownych ofiarodawców, którzy mają jeszcze zamiar przysłać do naszej Redakcyi jakieś ofiary na dzieci wrzesińskie, żeby raczyli nadesłać nam je w ciągu najdalej dwóch, trzech dni, gdyż musimy rachunek zamknąć i przesłać do komitetu poznańskiego.

Stan powietrza. T. o g. 6 rano + 1, w poł. + 8 R. Bar. 761. Spada. Deszcz.

Litość amerykańska.

Noc. Przechodzący plantem jegomość spostrzega jakiegoś na szynach mężczyznę. Zawiązuje się następujący dyalog:

— Co pan tu robisz?

— Mój panie, zostaw mnie w spokoju i pozwól mi umrzeć. Zaraz tędy przejeżdża pociąg tramwajowy.

— Ależ człowieku, po tej linii chodzą pociągi co parę godzin! Zaziębisz się jeszcze i dostaniesz kataru... Pójdź ze mną, a wskażę ci linię, gdzie co pięć minut pociąg przechodzi.

Repertuar teatru miejskiego we Lwowie. Dziś w poniedziałek po raz VIIgi „Simplicyusz" operetka w 3 aktach Jana Straussa. — We wtorek „Lohengrin" opera w 3 aktach Ryszarda Wagnera. Występ E. Guszalewicza i Heleny Ruszkowskiej. — We środę po raz VIIIy „Simplicyusz". — We czwartek po raz VIIIiny „Cyganerya". Występ I. Bohus. — Najbliższemi nowościami są: „Zagadka" (L'énigme) sztuka w 2 aktach P. Hervieux i „Goście" sztuka w 1 akcie Stanisława Przybyszewskiego.

Repertuar teatru miejskiego w Krakowie. Wtorek: „Kajetan Orug," dramat w 4 a. J. Konczyńskiego. Środa: „Kominiarze," komedya w 4 a. Domnika (ceny popul.). Czwartek: „Krzyżacy," obraz dziej. z powieści H. Sienkiewicza w 12 odsł. Sobota: „Car jedzie," sztuka w 1 a. J. Maskoffa i „Mężczyzna," sztuka w 3 a. G. Zapolskiej (now.) Niedziela: o godz. 3 „Jasełka", o godz. 7 „Car jedzie" i „Mężczyzna".

Odpowiedzi administracyi. *WP. Józef Brykczyński w Święcanach.* Prenumerata zapłacona po koniec marca.

Literatura i sztuka.

* **Z teatru.** Wystawiona w sobotę operetka „Simplicyusz" Straussa była jednym z chybionych eksperymentów; jest to bowiem najsłabsza operetka Straussa, robotą swą, fakturą, fabułą przestarzała, zupełnie pozbawiona wszelkiego dowcipu, niejednolita, bo zaczynająca się jako sielanka, a kończąca się jako zbrodnia kryminalna, nudna do nieskończoności, tak, że publiczność, która zapełniła teatr prawie zupełnie, opuszczała go wielce niezadowolona.

Notując ten błąd naszej dyrekcyi, musimy jej stanowczo oddać pochwałę za tak staranne i tak dobre wystawienie „Cyganeryi" Pucciniego. Opera ta, będąca jedną z najpiękniejszych pereł współczesnej muzyki, jest bowiem na naszej scenie przedstawiana tak dobrze, że mało teatrów w Europie mogłoby się równie dobrem przedstawieniem tej opery pochwalić. — Przedewszystkiem panna Bohussówna jest może najpiękniejszą przedstawicielką Murgerowskiej Mimi, jaką gdziekolwiek można oglądać dzisiaj. Osoby, które widziały tę operę w Rzymie, Neapolu, Medyolanie, Paryżu, stanowczo twierdzą, że bardzo rzadko spotkały tam tę postać tak ujmująco odtworzoną, jak u nas. Partya Mimi leży bowiem w głosie panny Bobus doskonale, a wkłada ona w nią tyle poezyi, tyle uczucia, że tworzy kreacyę bez zarzutu.

Bardzo dobrym poetą Rudolfem jest p. Drzewiecki. Jego głos poczynając od *sol* w górę jest przedziwnie piękny; nuty *sol, la, si, do* — czyli t. zw. wysokie *c* tenorowe — ma on prześliczne. Rzadko można spotkać tenora, którymby te cztery tony miał tak zupełnie nienaganne, jak właśnie p. Drzewiecki, ponieważ zaś partya Rudolfa jest pisana właśnie w wysokim rejestrze, przeto ma on tu świetne pole do popisania się. Głos jego staje się dopiero krzykliwy w rejestrze średnim i dolnym, ale i tej krzykliwości swej zaczyna pomału p. Drzewiecki się pozbywać, coraz więcej frazuje, coraz więcej stara się o to, aby dykcya jego była wyrazistsza, coraz mniej forsuje, a więc i coraz mniej krzyczy. Jeżeli dalej popracuje nad sobą w tym kierunku, to jesteśmy przekonani, że będzie to kiedyś znakomity tenor. Na razie skonstatować wypada, że partya poety Rudolfa leży zupełnie mu w głosie. Bardzo zaś dobrymi są: p. Ludwig, obdarzony ślicznym głosem barytonowym, p. Szymański i p. Jeromin; tworzą oni z p. Drzewieckim nadzwyczaj sympatyczną czwórkę.

Orkiestra trzyma się doskonale, chóry wszystkie wypadają bardzo bobrze, a p. Chodakowski, reżyser teatru warszawskiego, tak świetnie uorganizował scenerye, że te bezmyślne nasze chóry, które zwykle stoją jak kołki wbite w posadzkę sceny, tutaj się ruszają, żyją i tworzą w drugim akcie zupełne prawdopodobieństwo ulicy Paryża.

Opera ta jest nadzwyczajnie misternie robiona, tymczasem nasza publiczność, zwłaszcza ta, która chodzi na galerye, przyzwyczajona jest do tego, żeby oklaskami przerywać muzykę w najpiękniejszych miejscach. Toteż wielka część publiczności, uczęszczającej do teatru, udaje się za naszem pośrednictwem do władzy teatralnej z prośbą, czyby nie można było urządzić tak, żeby klaka zechciała już przynajmniej, gdy takie dzieło wystawiane jest na scenie, nie przerywać słuchaczom przyjemności i nie wszczynać hałasu oklaskowego w chwilach najbardziej zajmujących pod względem muzykalnym. Zwłaszcza końce aktów wszystkich są tak misternie wycyzelowane, że chciałoby się do ostatniej nuty je słyszeć, tymczasem zaledwie kurtyna zaczyna się ruszać, galerya poczyna wyprawiać hałasy brutalne w najwstrętniejszy sposób. Przecież można tych klakierów przynajmniej od takiej opery usunąć.

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 11 stycznia.

(Z) Kurs akcyi kredytowych wystawiony był dziś na silne ataki z powodu wiadomości o wielkiej defraudacyi, popełnionej w praskiej filii tego banku. Obawiano się, że defraudacya ta wpłynąć może na zmniejszenie tegorocznej dywidendy i dlatego sprzedawano kredyty znacznemi partyami. Zakupna interwencyjne przedsiębrane na rachunek najpotężniejszych domów finansowych zapobiegły wprawdzie zbyt wielkiemu spadkowi kursu kredytów, tak, że ostatecznie skończyło się tylko na 3 i pół koronach, o które zamknięto dziś kurs kredytów niżej.

Eskont prywatny spadł dziś na targu naszym na 3%. Znów robiła pierwsza austryacka kasa oszczędności konkurencyę bankowi austro-węgierskiemu, bo podczas gdy on obliczał eskont $3\frac{1}{8}$%, ona zadowalała się procentem 3%. Zniżenie oficyalnej stopy procentowej banku austro-węgierskiego z 4 na $3\frac{1}{2}$% staje się z każdym dniem coraz więcej prawdopodobnem. Nie czekając jednak na to zarządzenie, ma rząd podobno obniżyć procent, opłacany od asygnat salinarnych na 3% od trzymiesięcznych, a na $3\frac{1}{2}$% od sześciomiesięcznych asygnat.

Sprawa zaciągnięcia przez Węgry nowej pożyczki na inwestycye staje się coraz bardziej aktualną. Podobno jeszcze z końcem tego miesiąca ma rząd peszteński nawiązać w tej sprawie rokowania z grupą Rotszyldowską. Pożyczka wyniesie 150 do 200 milionów koron. — Inna ważna wiadomość nadeszła dziś z Pesztu, a mianowicie, że referenci fachowi obu rządów ukończyli już drugie czytanie projektu nowej autonomicznej taryfy celnej. Niebawem zatem będzie ten projekt dojrzały do parlamentarnego traktowania. — Z ogłoszonego właśnie bilansu Towarzystwa akcyjnego, urządzającego loteryę klasową na Węgrzech, dowiadujemy się, że czysty zysk osiągnięty przez to Towarzystwo w roku ubiegłym wynosił 672.617 koron, z czego przeznaczono 669.600 koron na dywidendę dla akcyonaryuszów, a resztę przeniesiono na rachunek roku bieżącego.

Rada nadzorcza Towarzystwa „Bau- und Betriebsgesellschaft" utrzymującego tramwaje wiedeńskie, uchwaliła zaproponować walnemu zgromadzeniu akcyonaryuszy odstąpienie całej sieci tramwajów gminie miasta Wiednia za cenę 62 milionów koron. Przy tej cenie wypadnie na każdą akcyę cena wykupna 304 do 305 koron (dzisiejszy zaś kurs giełdowy jest 283) — jeżeli zaś rozmaite procesy wytoczone Towarzystwu przez gminę wypadną na korzyść Towarzystwa, w takim razie cena wykupna akcyi będzie mogła być podwyższoną do 320 koron.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 639 00, węgierskie 659 00. Anglobanki 262 00, Uniony 544 00, Bankvereiny 447·25, Länderbanki 417·25. Ludwiki 423·50, Czerniowieckie 538 00, Elbethale 449 00, Renta papierowa 99·80, srebrna 99·70, austryacka złota 120 35, austr. renta wal. kor. 96·25, węgierska złota 119·55, węgierska renta wal. kor. 95·10, dukat 11·30, 20-franków. 19·04—, 20-markówka 23·44—, rubie 2·54—.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

(Otrzymane wczoraj).

Wiedeń 12 stycznia. W dalszym ciągu obrad w komisyi budżetowej p. Pernerstorfer omawiał stosunki aptekarskie i domagał się upaństwowienia aptek. Dalej żądał od prezydenta gabinetu dra Koerbera, aby dokładnie wyjaśnił, jak się miała rzecz z ową grą hazardową w wiedeńskim Jockey-Clubie. Następnie poddał mówca ostrej krytyce cenzurę teatralną i wspomniał o tem, że w Wiedniu zakazano przedstawienia „Tkaczy" Hauptmanna. P. Pernerstorfer oświadcza, że jest to wstyd dla Austryi i prosi prezydenta gabinetu, aby w sprawie cenzury teatralnej odstąpił od przestarzałego systemu.

Prezydent gabinetu dr. Koerber oświadczył, że zastrzega sobie na przyszłość odpowiedź na rozmaite interpelacye i wnioski, podniesione w ciągu dyskusyi, na razie zaś, aby uniknąć nieporozumień, pragnie powiedzieć parę słów o cenzurze teatralnej. Cenzura teatralna jest rzeczą bardzo drażliwą. Istnieje ona we wszystkich państwach, nawet we Francyi. Jest bardzo trudno wobec wielkiej liczby ludzi obojga płci i rozmaitego wieku, przychodzących na przedstawienia teatralne, puścić jaką sztukę bez poprzedniego jej przeczytania i ocenzurowania, tembardziej, że sztuka taka może być pisaną przez kogoś, komu nie zależy ani na moralności, ani na dawaniu dobrych przykładów. Że nie jesteśmy małoduszni — mówi p. Koerber dalej — dowodem tego, że przy rozmaitych okazyach po zwalaliśmy wystawiać sztuki wszelkiego rodzaju. Co się tyczy „Tkaczy" Hauptmanna, to sztuka ta nie była przedmiotem merytorycznego zarządzenia ze strony władz. Raz była ona przedłożoną do cenzury przez dyrektora jednego z teatrów, ale zanim przeszła przez cenzurę, dyrektor ów ustąpił i sztukę cofnięto. Obecnie przedłożono ją drugi raz do cenzury, atoli zakazu jej przedstawienia nie wydano.

P. Kozłowski omawiał sprawę Morskiego Oka. Interpeluje rząd, jakie poczynił zarządzenia, aby strzedz neutralności terytoryum spornego, z jakiego powodu wycofano posterunki żandarmeryi austryackiej z terytoryum spornego, i jak rząd zamyśla zapobiedz temu, aby na czas trwania sporu terytoryum sporne nie było uważane ze strony austryackiej czynnie czy biernie za terytoryum węgierskie. Bierność i bojaźliwość w obronie tego terytoryum jest za dzisiejszego rządu o wiele większą, niż była za rządów poprzednich.

W dalszym ciągu mówca z uznaniem podniósł mowę dra Koerbera, wypowiedzianą do urzędników w Pradze, a w której prezydent gabinetu powiedział, że urzędnicy powinni być doradzcami ludności i stróżami jej interesów. Spodziewa się, że dr. Koerber usunie przestarzałą formalistykę biurokratyczną i rozmaite inne wadliwości w świecie urzędniczym, polegające na tem, iż urzędnikom brak praktycznej znajomości poszczególnych królestw i krajów i brak znajomości życia praktycznego. Dalej domagał się mówca rewizyi spraw administracyjnych, ustawowego uregulowania ubezpieczenia od ognia i ubezpieczenia bydła, jakoteż sprawiedliwego odszkodowania gmin za prowadzenie agend, wypływających z poruczonego zakresu działania. Następnie żądał wydatniejszej pomocy od państwa dla miast przy zwalczaniu epidemii, a w końcu interpelował w sprawie wykonywania konwencyi weterynaryjnej ze strony Niemiec i wskazał na to, że ustawa z roku 1901 w sprawie zwalczania zarazy u nierogacizny, mimo pewnego złagodzenia, jest zawsze jeszcze bardzo uciążliwą.

Berlin 12 stycznia. W parlamencie niemieckim na wczorajszem posiedzeniu p. Sattler (narodowy liberał) polemizował z onegdajszymi wywodami p. Dziembowskiego. Rzekł, że jest wielka różnica między tem, czy jakiś poseł omawia stosunki obcego państwa, czy, jak to miało miejsce w Galicyi, cały sejm zwraca się przeciwko stosunkom, panującym w innem państwie. Dalej polemizował mówca z wywodami p. Liebermanna, a w końcu uderzył na rząd za to, iż zamianował katolika, prof. dra Spahna, profesorem historyi na uniwersytecie strassburskim. Nominacya ta wywołała wszędzie wielkie rozdrażnienie, a jest jednym krokiem dalej ze strony rządu do dzielenia ludności niemieckiej według wyznania.

Sekretarz stanu p. Köller odpowiedział Sattlerowi, że rząd krajowy uwzględniając stosunek studentów katolików na uniwersytecie strasburskim do stosunku profesorów (jest tych ostatnich: 61 protestantów, a 4 katolików) zalecił zamianowanie profesorem katolika, a temu życzeniu uczyniono zadość. Rozdrażnienie, jakie panuje z powodu nominacyi prof. Spahna, jest wywołane sztucznie przez prasę i nie jest usprawiedliwione.

W końcu socyalista Bebel odwołując się do mowy, wypowiedzianej przez Chamberlaina w Birmingham, przyznał Chamberlainowi słuszność w jego zarzutach, robionych Niemcom, albowiem w r. 1871 podczas wojny francusko-pruskiej działo się naprawdę wiele brzydkich rzeczy.

Londyn 12 stycznia. O debacie w niemieckim parlamencie, dotyczącej Anglii, pisze *Times*: Rzadko kiedy, jeżeli wogóle kiedykolwiek, zdarzyło się, ażeby w obcem państwie obrażono naród zaprzyjaźniony w tak obelżywy i brutalny sposób, jak to uczynił poseł Liebermann i nigdy zastępca rządu nie odparł obrazy takiej tak łagodnie, jak to uważał za stosowne uczynić hr. Bülow. Jeżeli czego od rządu zaprzyjaźnionego państwa żądać można, to przynajmniej krótkiej odpowiedzi, biorącej w obronę państwo obrażone, zwłaszcza, gdy jak w tym wypadku zwrócono się nietylko przeciwko tym żołnierzom angielskim, którzy polegli, ale także przeciw żyjącym. (P. Liebermann nazwał bowiem żołnierzy angielskich „Diebsgesindel", t. j. hołota złodziejska).

(Otrzymane dziś).

Wiedeń 13 stycznia. W piątek 17 stycznia rozpoczną się w urzędzie dla statystyki robotniczej w ministerstwie handlu w obecności ministra Calla obrady ankiety o stosunkach produkcyi i pracy w przemyśle szewskim.

Cieszyn 13 stycznia. Szląska Rada szkolna krajowa uchwaliła poprzeć podanie Macierzy szkolnej do ministerstwa oświaty o przyznanie prawa publiczności gimnazyum polskiemu w Cieszynie.

Na tutejsze polskie seminaryum nauczycielskie ofiarował br. Ksawery Brunicki 1.000 rubli.

Tryest 13 stycznia. Serbo-Chorwaci w Istryi, którzy dotychczas byli członkami tryesteńskiego stowarzyszenia „Edinost", założyli nowe polityczne stowarzyszenie dla Słoweńców i Chorwatów w Istryi. Ukonstytuowanie się nowego stowarzyszenia odbyło się we czwartek w Pisino. Przewodniczącym wybrano posła do Rady państwa Spinczica.

Berlin 13 stycznia. *Norddeutsche Allg. Ztg.* zaprzecza wiadomości, podanej przez jedno z pism angielskich, jakoby cesarz Wilhelm zamierzał w przeciągu pięciu miesięcy aż dwa razy odwiedzić Anglię, a to raz w rocznicę śmierci królowej Wiktoryi, a drugi raz podczas uroczystości koronacyjnych króla Edwarda.

Londyn 13 stycznia. Minister dla kolonij Chamberlain wygłosił w Birmingham mowę, w której powiedział między innemi: Wiem dobrze, iż w niektórych kołach sądzą, że powodem animozyi przeciw Anglii są niedyskrecye, które w swych mowach popełnił angielski minister dla kolonij. To, co powiedziałem, powiedziałem. Nie cofam z tego ani słowa, ani też słowa jednego w tem nie zmienię; również nie widzę potrzeby bronienia mych słów. Nie chcę iść za przykładem, który mi dano. Nie chcę żadnemu ministrowi spraw zagranicznych ani udzielać nauk, ani też od niego żadnych nauk przyjmować.

Wiedeń 13 stycznia. W ciągu wczorajszego dnia przybyło do Wiednia przeszło 300 studentów ruskich, którzy opuścili uniwersytet lwowski i pragną się zapisać na wszechnicę wiedeńską. Z dworca maszerowali studenci w grupach do swoich kwater.

Kraków 13 stycznia. Na kurytarzach gmachu uniwersyteckiego Collegium Novum panował dziś rano ożywiony ruch z powodu przyjazdu studentów ruskich ze Lwowa. Wskutek zwiększenia się liczby słuchaczy wyznaczono na niektóre wykłady większe sale itp. Liczbę przybyłych będzie można dokładnie oznaczyć dopiero po zestawieniu wpisów.

Kraków 13 stycznia. Wczoraj wieczór urządzono tu przy ul. Straszewskiego demonstracyę przed mieszkaniem niejakiego Szmeitzera, emisaryusza stowarzyszenia „Gustawa Adolfa" ze Szląska, który przebywa tu celem szerzenia propagandy „los von Rom". Pewna liczba młodzieży zebrała się przed kamienicą i na schodach i okrzykami dawała wyraz swym uczuciom.

Kraków 13 stycznia. Wczoraj odbyło się pod przewodnictwem p. Edm. Klemensiewicza walne zgromadzenie członków Towarzystwa przyjaciół muzyki „Harmonia". Sprawozdanie wydziału wykazało bardzo pomyślny stan Towarzystwa, które pozbyło się wszelkich długów i liczy przeszło 2000 członków. Uchwalono wydziałowi absolutoryum z rachunków i przeprowadzono uzupełniające wybory do wydziału.

Londyn 13 stycznia. Dzienniki omawiają wczorajszą mowę Chamberlaina w pochlebnych słowach. *Daily Telegraph* atakuje przy tej sposobności w ostry sposób Buelowa, któremu zarzuca, że dla swej własnej powagi poświęca najlepszą politykę cesarza Wilhelma, szafując swym dowcipem. Cesarz niemiecki jest najzdolniejszym politykiem niemieckim, jednakże Buelow swem postępowaniem psuje jego szyki. *Morning Post* i inne pisma zaznaczają, że odpowiedź Chamberlaina na mowę Buelowa wzmocniła popularność Chamberlaina w Anglii.

Wiedeń 13 stycznia. Cesarz przyjął dziś na ogólnych posłuchaniach między innymi księcia kardynała Puzynę i prezydenta wyższego sądu krajowego we Lwowie Aleksandra Tchórznickiego.

Berlin 13 stycznia. W sejmie pruskim rozpoczęła się dziś dyskusya nad interpelacyą Koła polskiego i równocześnie nad interpelacyą liberałów.

Pretorya 13 stycznia. Pułkownik Link napadł wczoraj koło Ermelo na obóz Boerów i zabrał 42 Boerów do niewoli, między nim majora Wolmaransa, kapitana Wolmaransa i kilku innych oficerów.

HOTEL GEORGEA.

Przyjechali dnia 13 stycznia. Hr. A. Starzeński z Dąbrówki. W. Tustanowski z Gorlic. K. Paygert z Sidorowa. K. Kirchmayer z Majdanu Górnego. K. Horodyski z Żabiniec. W. Grzybowski z Dębicy. S. Ruzicka z Wiednia. M. Gerö z Budapesztu. A. Jełowiecki z Szutrominiec. J. Gartenberg z Drohobycza. S. Steyier ze Złoczowa.

HOTEL EUROPEJSKI
ALBERT SZKOWRON.
Lwów — Plac Maryacki

Przyjechali dnia 13 stycznia. W. Czajkowski z Bóbrki. E. Chmielewski z Czerniowiec. J. Schoenet z Glinian. J. Słonecki z Zadorowa. M. Hennig z Borysławia. J. Daniewicz z Dobromila. J. Krynicki z Przemyśla. F. Diener z Wadowic. W. Twardowski z Kijowa. T. Smarzewski z Cieńca. E. Rubesch z Wiednia. A. Thulie z Rzepniowa. J. Szumpeter z Buska. M. Niwicka z Bortnik. M. Ochocki z Zarwanicy. J. Rybiccy z Janowa. F. Stanek z Wiszenki. S. Potworowski z Koropca. W. Karśnicki z Rosyi.

HOTEL FRANCUSKI
Plac Maryacki — Lwów.

Pierwszorzędny hotel z komfortem urządzony, pilzneńska restauracya z pokojem do śniadań, cukiernia w miejscu.

Przyjechali dnia 13 stycznia. S. Jakubowski z Zabawy. W. Grandowa z Ciemierzyniec. W. Smerykowska i N. Rubczak ze Stanisławowa. S. Rotter z Suchodołów. J. Persa z Janowa. S. Jarzyna z Birczy. M. Czepiel z Drohobycza. B. Ellinger z Budapesztu. W. Przecialski z Rzeszowa. D. Opieński z Żółkwi. W. Löwy z Wiednia. M. Steidl, A. Pischek, L. Gussich i A. Kainrath z Mostów wielkich. S. Jasieńscy z Radziwiłłowa. J. Wybranowska z Kimirza. S. Krzysztofowicz z Artasowa.

Wiedeń 13 stycznia. (Giełda towarowa). Cukier (spokojnie) 17·90. Nafta galicyjska bez zmiany. Spirytus niezmieniony 35·20.

Berlin 13 stycznia. (Zamknięcie giełdy). (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 00 00. Spirytus 31·80.

Paryż 13 stycznia. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 100 40. **Mąka** („Fleur de Paris") 27 70.

Wiedeń 13 stycznia. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 kilogramów). Pszenica na wiosnę 9·42—9·43, na maj-czerwiec 0,00—0·00, na jesień 0 00—0·00; żyto na wiosnę 7·80—7·81, na majczerwiec 0·00—0·00, na jesień; kukurudza na maj-czerwiec 5·72—5·73; na czerwiec-lipiec 0·00—0·00, na lipiec-sierpień 0·000—0 00; owies na wiosnę 7·79—7·80, na maj-czerwiec 0.00—0.00, na jesień 0 00—0·00. Rzepak na styczeń-luty 00·00—00·00, na sierpień-wrzesień 12·45—12 60. Olej rzepakowy na styczeń-kwiecień 0·00—0·00. — Tendencya: pewna. Pogoda: piękna.

Budapeszt 13 stycznia. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 klg.). Pszenica na kwiecień 9·24—9·25, na październik 8·43—8·44; żyto na kwiecień 7·54—7·55; owies na kwiecień 7·48—7·50; kukurudza na maj 5·43—5·44. Rzepak na sierpień 12·25—12·35. Oferty na pszenicę: mierne. Chęć kupna słaba. Tendencya: słaba. Pogoda: piękna.

Wiedeń 13 stycznia. Kursa giełdowe.

Losy: a) procentowe:

Austr. zakł. kr. z obl. pr. z r. 1880	3%	258.—
" " " " " " 1889	3%	249.75
Tow. żegl. na Dunaju 100 zł. m. k.	4%	500.—
Uregulow. Dunaju z r. 1870 100 zł.	5%	267.—
Węg. Banku hipotecznego po 100 zł.	4%	247.—
Pożyczka serbska prem. po 100 fr.	2%	81.00
Tureckie obl. prem. kolej po 400 fr.		103.25

b) bezprocentowe:

Budapeszteńskie (Basilica) 5 zł. 17 40, Zakł. kred. dla h. i p. po 100 zł. 398.00, Clary 40 zł. m. k. 160.—, Pożyczka m. Insbruku 20 zł. 82.00, Losy m. Krakowa 20 zł. 74.—. Pożyczka m. Lublany 20 zł. 70.—, Ofen 40 zł. 175.00, Palffy 40 zł. m. k. 170.00, Czerw. krzyża austr. 10 zł. 50.50, Czerw. krzyża węg. 5 zł. 26·25, Losy fund. arcyks. Rudolfa 10 zł. 86.—, Salma 40 zł. m. k. 225.—, Pożyczka salcburska 20 zł. 79.00, Pożyczka St. Genois 40 zł. m. k. 240.00, Losy komunalne m. Wiednia r. 1874 398.—.

Lwów 13 stycznia. (Z izby handlowej).

Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za 100 K.: Kolej gal. Karola Ludwika po 420 Koron 422·00 do 428·00, Kolej Lwowsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 536 00 do 545.00. Banku hipotecznego po 400 kor. 535.00 do 550 00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —·— do 100·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron 000·— do 350.—. Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 350.— do 380.—.

Listy zastawne za sztukę: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc. prem. 109·50 do 000·00 4 i pół proc. los. w 50 lat 97·60 do 98·30, 4 proc. los. w 60 lat 90.20 do 90·90. Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 99.00 do 99.70 Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 92·— do 92·70. — Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 98·30 do 94·—, 4 proc. los w 41 i pół latach 93.50 do 94.20, 4 proc. los w 56 lat 92 10 do 92 8 .

Obligi za sztukę: Gal. fund. propinacyjnego 4 proc. 97 30 do 98·00. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 101·50 do —·—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 101·— do 101·70. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 92·00 do 92·70. Pożyczki kraj. z r. 1878 6 proc. —·— do —.—. 4 proc. z 1898 r. 93.60 do 94.30, miasta Lwowa 4 proc. po 200 koron 87·90 do 88·60, $4\frac{1}{2}$% po 200 koron 97·80 do 98·50.

Monety. Dukat cesarski 11·17 do 11·35. Napoleondor 18·90 do 19·15. Rubel rosyjski papierowy 252.50 do 255.00. 100 marek niemieckich 117·10 do 117·60.

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1go maja 1901 roku według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2·31***, **1·35**, **8·40***, 6·10, 8·50, 5·50 i 9.50*

Z Rzeszowa: 11·45.

Z Podwołoczysk (na dworzec główny): **2·35**, 3·35*, 5·35 10.20*; na Podzamcze: **2·20**, 3·12*, 5·11, 10·2*.

Z Tarnopola: 8·00 (na dw. gł.); 7·40 na Podzamcze

Z Czerniowiec: **12·15***, **1·45**, 6·20, 5·40 i 9·20*.

Ze Stanisławowa: 11·55.

Ze Stryja: 8·10, 1·10, 4·40, 10·50*.

Z Brzuchowic, Żółkwi, Sokala: 8·15, 6·00.

Z Janowa 7·45, 5.15.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa: **12·45***, **8·30**, **2·55**, 4·15*, 8·40, 6·20*, 11*

Do Rzeszowa: 8·30.

Do Podwołoczysk z dworca głównego: **1·55**, 6·30, 9·25 11·10*; z Podzamcza: **2·08**, 6·48, 9.42, 11·32*.

Do Tarnopola: 7·10* z dw. głównego i 7·32* z Podzamcza

Do Czerniowiec: **2·51***, **2·40**, 6·25, 10·25, 10·30*.

Do Stanisławowa: 6·10*.

Do Stryja: 6·35, 9·00, 3·05, 6·35*.

Do Brzuchowic, Żółkwi, Sokala: 10·20, 7·25*.

Do Janowa: 9·15; 7.50*.

Uwaga. Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 56 rano.

35)

TYBERYUSZ

POWIEŚĆ

przez

J. Evans Wilsona.

Tłómaczyła z angielskiego baronowa Zofia Hartinghowa.

(Ciąg dalszy).

— Więc cię to nic nie obchodzi, jeżeli wnuczka jenerała Darringtona ukaraną zostanie za zbrodnię?

— Na Boga!... master Lennoxie, nie posuwaj się za daleko! Widzi mi się, że pan na dwóch koniach jeździsz... ale po której stronie siedzisz?

— Zawsze po stronie sprawiedliwości i prawdy, to też przybyłem tutaj w celu przyjścia z pomocą twojej młodej pani. Ale zdaje się, że jesteś już zbyt stary i niedołężny, aby ocalić ją od zguby.

— Czy panicz tylko nie zmierza do tego, żeby dowieść, że to ona zamordowała starego pana? Bo wy wszyscy zawzięliście się na nią, a tygrysie szpony są niczem w porównaniu z waszemi, gdy się wam uda schwycić jaką ofiarę.

Stary murzyn stał z odrzuconą w tył siwą głową, a wahanie i sroga niepewność odbijały się na jego pomarszczonej twarzy, gdy badał przenikliwe oblicze młodego prawnika, na którem szybko zbierały się chmury.

— Przyjechałem tu w nadziei, że znajdę starego, wiernego sługę rodziny, którego przywiązanie nigdy nie zostało podane w wątpliwość, ale widocznie zmarnowałem czas i zaufanie. Gdzież jest Dysa? Ona jedna warta jest stu takich zgrzybiałych tchórzów, jak ty.

— Niech mi panicz nie wymyśla od tchórzów, master Lennoxie. Jeżeli jest obelga, której nie znoszę, to ta, aby mi zarzucono, iż mam białą wątrobę. Moje świadectwo wojskowe dowodzi, że biłem się, jak gdybym miał krew szlachecką, a nie chamską, w żyłach. Może mi pan powiedzieć, że jestem łajdak i szubrawiec, to poczytam to za żart i roześmieję się, ale niech pan Bedneya Darringtona nie nazywa nigdy tchórzem! To się równa zatopieniu noża w piersi. Mówię paniczowi prawdę, jak przed Bogiem; spierać się z prawnikiem trudno, bo on samego dyabła wywiedzie w pole i okręci sobie ogonem dokoła palca, a ja nie jestem taki stary głupiec, żeby z zawiązanemi oczami skakać w przepaść. Powiedz mi więc, paniczu, szczerze i wyraźnie, czego żądasz odemnie. Tylko szczerą prawdę — bez adwokackich wykrętów — master Lennoxie!

— Chcę ogłosić nagrodę dwustu pięćdziesięciu dolarów i przyszło mi na myśl dać ci prywatnie sposobność zarobienia tej sumy. Gdzież jest twoja żona?

— Tyle ja wiem o tem, co ten człowiek z łopatą na księżycu. Jedyna rzecz, którą mi powiedziała, opuszczając dom, to że jedzie do New-Jorku, aby odszukać miss Alicyę. Przedkładałem jej, że zginie w mieście, jak gęś w polu; odpowiedziała, iż to nie moja rzecz. Gdyby ona tu była, nie pozwoliłaby mi mięszać się w tę sprawę i miałbym związane ręce, bo i przez papier nie tknęłaby tych pieniędzy. Nie boję się mojej staruchy, ale nadto ją szanuję, aby się jej sprzeciwiać. Jak się panicz ożeni, to się przekona, że lepiej baby nie drażnić. Czegoż więc panicz chce odemnie za te dwieście pięćdziesiąt dolarów?

— Ot w tem rzecz. W nocy, kiedy jenerał Darrington został zamordowany, widziano w pobliżu stacyi kulawego, średniego wzrostu murzyna, dźwigającego zawiniątko na kiju. Mieszka on pewnie na którejś plantacyi w południowej części miasta, bo skierował się w tę stronę po owej strasznej burzy, która szalała w okolicy. Muszę go odszukać nie dlatego, żeby on sam był zamieszany w tę sprawę, ale dlatego, że chcę dostać od niego rysopis białego człowieka, któremu wskazał drogę do kolejowego wodnego rezerwoaru. Jeżeli odnajdziesz tego murzyna i przyprowadzisz go do mojej kancelaryi, to wypłacę ci dwieście pięćdziesiąt dolarów, a jemu sprawię nowe ubranie. Jedyną nadzieją ocalenia wnuczki jenerała Darringtona jest postawienie tego człowieka jako świadka rozmowy, którą ona dowodzi, że usłyszała pod oknem. Dziś mamy środę. Daję ci termin do soboty. Gdyby ci się nie udało nic zrobić do tej pory, to podam ogłoszenie o nagrodzie do gazet. Jeżeli dobrze życzysz pannie Brentano, to mi dopomożesz wyszukać tego człowieka.

Wskoczył na siodło i odjechał, zostawiając Bedneya srodze zafrasowanego.

— Baby są trudne w pożyciu — mówił sam do siebie, skrobiąc się w głowę — ale u nich rozum pracuje szybciej, niż u nas. Jakieś lepsze sprężyny mają w głowie. Żeby tu była Dysa, to onaby mi zaraz powiedziała, co robić, bo ona wzrokiem prześwidrowałaby młyński kamień i zajrzałaby na samo dno duszy prawnika. Jeżeli się wdam w tę sprawę, to mogę wpaść jak lis w zasadzkę, a jak się nie wdam, to może być jeszcze coś gorszego.

Master Lennox dla mnie za mądry. Nie ufam mu; boję się jego słodkiego języka. Zawziął się na razie na tę biedną panienkę i chciał ją gwałtem posłać na szubienicę, a teraz raptem coś mu strzeliło do głowy i ofiaruje 250 dolarów nagrody takiemu, który mu dowiedzie przed sądem, że był idyotą i oszczercą. Ja, stary wyga nie dam się wziąć na takie fortele. Czemu tej Dysy tu niema?! Niech master Lennox wywraca koziołki przed prześwietnym sądem, ale ja nie chcę należeć do jego cyrkowej kompanii. Lecz mój Boże! Żebym ja mógł wymiarkować, po czyjej on stronie stoi naprawdę?!

ROZDZIAŁ XIII.

Podczas pierwszego okresu swej rekonwalescencyi, Regina, choć zupełnie przytomna, nie zadawała żadnych pytań, nie dziwiła się ponuremu swemu otoczeniu i trwała w spokojnem choć smutnem milczeniu, które zadziwiona tem pani Singleton przypisywała zrazu fizycznemu wyczerpaniu. Wkrótce jednakże spostrzegła ze zdumieniem i niemałym podziwem, że milczenie to i skupienie w sobie pokrywało tortury wewnętrznej walki, że podsądna, wraz z powracającą świadomością, ogarnęła odrazu cały ogrom swego nieszczęścia i odważnie, cicho, wzięła swój ciężar na barki, wzbraniając sobie ulgi jednej łzy lub skargi na los okrutny.

Pewnego posępnego dnia, kiedy niebo zasnute było ołowianemi chmurami, a szare strugi deszczu przysłaniały okno, Regina siedziała na krawędzi swego żelaznego łóżka, z nogami wspartemi o stołek, a rękami zaplecionemi z tyłu głowy. Oczy jej, sino podkrążone i zapadłe, patrzyły smętnie przez więzienną kratę na daleki szarzejący horyzont.

Od czasu do czasu żona zawiadowcy podnosiła głowę od szycia, aby spojrzeć na nieruchomą postać i serce jej ściskało się na ten widok. Kiedy jednak ujrzała wielkie łzy, staczające się zwolna wzdłuż zwiędłych policzków pochyliła się ku niej.

— Co ci jest, moje biedne dziecko? Powiedz mi, kochanie...

Na razie nie było żadnej odpowiedzi. Kiedy Regina przemówiła nareszcie, głos jej był cichy, spokojny, miarowy, jak głos istoty, której wszystkie sprężyny młodości, nadziei i energii zostały niepowrotnie złamane.

— Każde Getsemani ma swoich aniołów pocieszycieli, których katusze oliwnego ogrodu sprowadziły Chrystusowi w godzinę męki. Dziękuję Bogu, że i mnie moi aniołowie nie opuścili. Gdyby nie oni, nie zniosłabym była nigdy tego ostatniego nieszczęścia, jakim los jeszcze mógł mnie dotknąć. Matka moja nie żyje.

— Czemu dręczysz się smutnemi przypuszczeniami? To choroba tak cię usposabia nerwowo. Miej nadzieję, dziecko, a Bóg da, że za parę dni otrzymasz pocieszające wiadomości od matki.

— Dawno już rozstałam się z wszelką nadzieją. Miejsce jej zajęła u mego boku blada, smutna, zrezygnowana, jedyna towarzyszka, jaka mi została. Obym tylko wytrwała przy niej do końca. Już nie czekam dobrych wieści na tej ziemi. Póki matka żyła, instynktownie chciałam się bronić. Teraz, kiedy zostałam samotną na świecie, ci, którzy czyhają na moje życie, mogą je zabrać. Nie będę się o nie spierać. Wiem, że matka moja umarła. Widziałam ją.

— Opamiętaj się, dziecko Umysł twój jest jeszcze słaby i bierze senne złudzenia za rzeczywistość. I bez chorobliwych przywidzeń masz dość kłopotów na twojej biednej główce. No, napij się wina i połóż. Siedziałaś zbyt długo i zmęczyłaś się.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: **Ludwik Masłowski.** Papier z fabryki Czerlańskiej. Z drukarni E. Winiarza